

z notatnika

19 X. W sumie, jakkolwiek by ocenić, bilans rozmów między Michaiłem Gorbaczowem a Ronaldem Reaganem w Reykjavíku nie jest optymistyczny. Zamarnowano wielką szansę zawarcia przez oba wielkie mocarstwa porozumień ograniczających w olbrzymiej skali ich arsenały nuklearne i kładących tamę rozwojowi nowych technologii niszczenia. Zaraz po zakończeniu spotkań światowa opinia publiczna została wszechstronnie poinformowana przez Michaiła Gorbaczowa o szczegółach rozmów i o przyczynach, które sprawiły, że nie udało się osiągnąć rozsądnego kompromisu. A przecież przywódca radziecki, jak nigdy dotąd, wychodził naprzeciw poprzednim propozycjom USA, m.in. zgodził się na tzw. „opcje zerowa” w sprawie rakiet średniego zasięgu w Europie i niewydzieranie w rakietowym bilansie stanu posiadania Francji i Wielkiej Brytanii, których to krajów rakiety są również wymierzone w naszym kierunku.

Propozycje radzieckie dobrze znamy, codzienne środki masowego przekazu informują o nich szczegółowo. Znamy również upór Stanów Zjednoczonych i ich prezydenta w sprawie SDI, czyli programu wojen gwiazdowych. Amerykanie gotowi są przeznaczyć setki miliardów (co najmniej setki miliardów!) dolarów na przedsięwzięcie, które może tylko doprowadzić do zmiany układu sił na świecie. Oczywiście Związek Radziecki nie będzie mógł pozostać obojętny i udawać, że się nie dzieje. W konsekwencji grozi światu nowy, znacznie wyższy i znacznie kosztowniejszy etap zbrojeń.

Chciałoby się wierzyć, że jeszcze nie wszystko stracone, że Reykjavík nie zamknął drogi do kompromisu w Genewie, gdzie na innym szczeblu toczą się rozmowy, że nadchodzi czas przemyśleń. Chciałoby się wierzyć, ale akcja amerykańska wymierzona przeciwko radzieckim dyplomatom w USA świadczy o jakimś szaleństwie Białego Domu. Nawet sojusznicy USA są zaniepokojeni, zwłaszcza sojusznicy w Europie. Czy będą oni na tyle silni, by przekonać swych przyjaciół za oceanem, że nie można się poruszać po świecie jak słoń w składzie porcelany?

20 X. Nie cierpię plotek, a niestety, powtarzają je ludzie, których chciałoby się traktować poważnie. Ostatnio

plotki dotyczą ludzi, którzy piastowali niegdyś poważne funkcje państwowe i społeczne. Słyszę, że pewien były minister uciekł na Zachód z trzema milionami dolarów. Po kilku dniach suma trzech milionów urasta do trzynastu, maluczko, a dojdzie do miliarda. Urzędowo dementować? Wyśmiewać?

A swoją drogą jest tak, że czasem niektóre osoby aż do przesady prezentują się w telewizji. Później, kiedy (naturalna kolej rzeczy) wracają do dawnych, mniej eksponowanych zajęć lub wyjadą na placówkę zagraniczną, nikt ich do TV nie prosi. Człowiek po prostu znikną w tłumie, oficjalnie nie istnieje. I to jest pożywką do plotek, na których rozpuszczaniu pewnym osobom po prostu zależy!

22 X. Były prezydent Austrii, dr Rudolf Kirchschläger, otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Z inicjatywą w tej sprawie wystąpiła Rada Wydziału Prawa i Administracji UMCS.

Dr Rudolf Kirchschläger udzielił wywiadu przedstawicielowi „Sztandaru Ludu”, red. Waldemarowi Piaseckiemu. „Moje szczerze uznanie — oświadczył m.in. — budzi fakt, że mimo nadania mi doktoratu honorowego w UMCS, uczelni państwowej, również KUL stworzył mi sposobność spotkania z jego społeczeństwem i wykładu w jego murach. Jest to dla mnie oznaka, iż w Polsce płaszczyzna dialogu, niezależnie od przekonań światopoglądowych i politycznych, stale ulega poszerzaniu i wzbogacaniu o nowe elementy”.

Przed (dziewięćmi?) laty w Wiedniu odbywały się Dni Lublina. Goście z naszego miasta zostali wówczas przyjęci przez prezydenta Kirchschlägera, zamieniłem z nim także kilka słów: bardzo mu się podobały występy Zespołu Pieśni i Tańca UMCS. „Może kiedyś — powiedział, jak mi się wydawało, kurtuazyjnie — odwiedze wasze miasto?”

No i stało się!

23 X. Stefan Ciepły na łamach „Życia Literackiego” ciepło pisze o tygodnikach regionalnych, pismach PZPR, stwierdzając, że osiągała one nakłady, których nie powstydziłby się nie jeden tygodnik ogólnopolski. „Kronika” z Bielska-Białej ma nakład 98 tys. egz., a „Tygodnik Nadwiślański” z Tarnobrzega (!) i legnickie „Konkrety” —

po 60 tys. Aż jedenastcie tygodników „Konkrety”, „Kronika”, „Kujawy”, „Nowiny Jeleniogórskie”, „Panorama Leszczyńska”, „Tygodnik Nadwiślański”, „Tygodnik Ciechanowski”, „Tygodnik Płocki”, „Tygodnik Piłski”, „Tygodnik Zamorski” i „Ziemia Gorzowska”) osiąga nakład powyżej 100 egzemplarzy na 1000 mieszkańców. Gdyby taki wskaźnik chciała osiągnąć „Polityka”, musiałaby się ukazywać w nakładzie sięgającym 3,8 mln egzemplarzy!

Poczytność tygodników lokalnych to fenomen nie tylko w Polsce, takie są trendy prasy światowej. Mniej ważna jest treść czy forma. Mieszkaniec konkretnego województwa poszukuje informacji bezpośrednio go dotyczącej, obchodzącej, mającej związek z życiem jego miejscowości.

W świetle tych rozważań ponownie jawi się problem częstotliwości ukazowania się „Kamena”. Dwutygodnik to ni pies ni wydra. Nasze starania sprzed kilku lat o tygodnik rozbiły się o bazę poligraficzną. Teraz pod tym względem jest lepiej, zwłaszcza, że reforma gospodarcza sprzyja pewnym posunięciom, ale... jak nie kijem go, to pałką. Tę pałkę stanowi papier, czyli permanentne braki w tej dziedzinie. Nie chce mi się wprost wierzyć, gdy widzę nowe tytuły (w Łodzi powstał ostatnio — jeśli się nie mylę, tak brzmi tytuł — „Łódzki Express Sportowy”), że tej poprzeczki nie uda się nam przeskoczyć. Więc???

24 X. Dziś obradowała w Lublinie XXI Miejska Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR. Funkcję I sekretarza KM ponownie powierzono Gustawowi Rębaczowi. W skład sekretariatu weszli ponadto: Ryszard Mikłaszewicz, Zbigniew Prożo i Jan Skomorowski.

Zycząc nowej egzekutywie i sekretariatowi KM pomyślniej realizacji uchwał partii, pragnąłbym uczulić miejskie władze partyjne na problem starych działaczy — w szerokim tego słowa znaczeniu. Z rozmów w kulturalnych miejscach mogłem odnieść wrażenie, że zbyt mało korzystamy z doświadczeń niektórych ludzi. Nawet, jeśli są to indywidualne przypadki, nie można obok nich przejść do porządku dziennego!

25 X. Daniel Passent pisze w „Polityce”: „Kilka dni temu słyszałem przez radio (nie polskie), że Stefan Bratkowski, Lech Wałęsa i kilka innych osób wystosowało apel do prezydenta Reagana, by zniósł sankcje przeciwko Polsce. Można powiedzieć, że słuchałem tego z politowaniem. Toż to typowy przykład, jak mądry jest Polak

po skądzie. [...] Jeżeli już grono amerykańskich kongresmanów obu partii, a także tamtejsi działacze polityczni o przekonaniach antykomunistycznych, wystąpili z podobną inicjatywą do Białego Domu, to wstyd byłoby politykować w kraju nadal za sankcjami. Fakt, że niektórzy sygnatariusze tego apelu byli za sankcjami wobec swojego kraju, a żaden nie wypowiedział się od razu przeciwko nim — ile świadczy o ich kwalifikacjach politycznych i odwadze cywilnej, bo występować wówczas przeciwko tym represjom nie w każdym środowisku było popularne...”

Ow apel, o którym wspomina Passent, można już nie tylko usłyszeć przez polskojęzyczne szczykaczki, ale i przeczytać. — I to na pierwszej stronie ostatniego numeru „Tygodnika Powszechnego”. Jest pod apelem (zwanym tu „oświadczeniem”) i nazwisko redaktora naczelnego wspomnianego pisma. W tymże numerze „Tygodnika Powszechnego” żali się Kisiel, że redakcja (tegoż „Tygodnika”) zdjęła mu wielki, całostronicowy felieton. „O cóż poszło? — pisze Kisiel. — Że nadmierne pokrzykowałem naszą opozycję”.

Chciałoby się zapytać, czy również za to, że popierała do ostatniej minuty amerykańskie sankcje wobec Polski? W sumie to wszystko byłoby może i zabawne, gdyby nie dotyczyło niewrażliwych problemów naszej gospodarki.

26 X. O tym jeszcze chyba nikt nie słyszał! „Kurier Polski” zamieścił przed kilkoma dniami sensacyjną wiadomość o udanej operacji embriona poza łonem matki. Badania wykazały, że u dziecka na trzy miesiące przed jego urodzeniem (!) zatkana jest cewka moczowa, nie mogło ona wydalać z organizmu moczu. Chirurdzy z Kliniki Uniwersytetu Kalifornijskiego podjęli się operacji, rozcięli brzuch i łono matki, a następnie brzuch embriona, któremu pęcherz moczowy połączyli bezpośrednio z jelitami, dzięki czemu mogło znowu wydalać mocz. Następnie włożono dziecko z powrotem we właściwą pozycję do łona matki. Poza organizmem przebywało ono trzy minuty — tyle trwał zabieg.

Po urodzeniu się dziecka, ponownie go operowano przywracając do normalnego stanu cewkę moczową, pęcherz i jelita.

Sukces niesamowity, ale smutne, że w tym samym czasie wiele dzieci na świecie, zwłaszcza w Afryce, umiera tylko dlatego, że nie ma elementarnego pożywienia...

Taki jest świat pod koniec XX wieku!

M. A. Jaworski

W szczękach rekina

BYLI zastępca redaktora naczelnego „Przeglądu Tygodniowego”, szalejący reporter, Romuald Karas, popróbowal swych sił na polu felietonistyki. Widać, pomyślałem sobie, bida go przycisnęła, skoro w ten sposób goni inflację. No, ale każdy orze, jak, gdzie i czym tylko może...

Otóż Karas w dziesiątym numerze ukazującego się w Białymstoku miesięcznika społeczno-kulturalnego „Kontrasty” pomieścił był tekst, w którym ubolewa, iż sterty gazet i pism piętrzą się w kioskach „Ruchu”. Zwroty pewnych tytułów sięgają nawet połowy (podkreślenie M. A. Jaw.) nadziałów w kioskach, co redaktorom i wydawcom nie spędza jednak snu z oczu. „W trosce o zdobycie czytelnika liczne pisma ratują się, czym mogą. Wciąż żelazną pozycją są horoskopy i krzyżówki. [...] Jak w latach międzywojennych na pierwszych stronach gazet i tygodników pojawiają się krew i opisy morderstw. Znaczna część tygodników przybrała charakter kulisowy. Ale sensację też trzeba umieć robić co nielicznym się udaje (chyba tu Karas miał siebie na myśli z okresu, kiedy współredagował wzniesiony „Przegląd Tygodniowy”? — przyp. M. A. Jaw.) Widać to szczególnie na przykładzie tygodników wojewódzkich, których egzystencja na tym się głównie opiera...”

Stale przeglądam tygodniki wojewódzkie. Jedne są lepiej, drugie gorzej redagowane, zależnie od miejscowych możliwości i talentu zespołów, ale nikt się tam w krwi nie nurza. Karas, uogólniając indywidualny przypadek, gotów jest rozstrzelać stu niewinnych, jeśli wśród nich znajdzie się choć jeden, który na to „zasługuje”. Można i tak, to też jest metoda, choć, wydawałoby się, dawno zdyskredytowana.

Wracam jednak do zasadniczego tematu. Uprawasz się z tygodnikami (i „Kamena”, o czym dalej),

Karas bierze pod lupę miesięcznik „Reporter” (w rzeczywistości „Reporter” ukazuje się sporadycznie i nie jest miesięcznikiem). „Pismu — stwierdza autorytatywnie — brak jakiegokolwiek przemyślanej koncepcji redakcyjnej. Poziom intelektualny właściwie żaden”. Przy okazji bity dostaje i Janusz Atlas za tekst, który ukazał się przed rokiem. Trzeba podziwiać szybkość reakcji szalejącego reportera!

Po „Reporterze” przychodzi kolej na „Kulturę”, w której „jest mało do czytania”, a redaktor „Kultury”, Klemens Krzyżagórski, „zapomniał o tym, że ogień uchodził za zrzędnego redaktora”.

„Mało do czytania”... Jak widać, tylko trzy słowa wystarczą felietoniście „Kontrastów” do wydania oceny. Gratuluję precyzji formułowania myśli! Romuald locutus, causa finita...

W konkluzji swych rozważań autor stwierdza: „W wyniku zmian kadrowych Klemens Krzyżagórski objął „Literaturę” natomiast redaktorem naczelnym „Kultury” został prof. dr hab. Witold Nawrocki. Będzie lepiej!”

Chyłę głowę przed warszawsko-białostockim prokiem, Magistrowi Karasowi już sam tytuł (prof. dr hab.) wystarczy za wszelką rekomendację. Ja bym jednak poczekal, co ten Nawrocki pokaże? Może akurat zaprosi do współpracy mgr. Karasia? Z góry trudno mi też powiedzieć czy Krzyżagórski będzie lepszym redaktorem naczelnym niż zmarły ostatnio Jerzy Putrament. Ale Karas już o tym wie...

Przy okazji muszę wyrazić słowa uznania dla taktu naczelnego redaktora „Kontrastów” Dionizego Sidorskiego. Nie tak znów dawno właśnie Krzyżagórski redagował (znakomicie!) „Kontrasty”. Czy dlatego „uchodził za zrzędnego redaktora”, ponieważ na łamach „Kontrastów” nie drukował w odcinkach żadnej swojej książki, jak czyni to obecny szef miesięcznika, który opublikował już dziewięć odcinków swojej pracy o księciu Karolu Radziwiłł? Osobiście nie mam przeciwko Sidorskiemu, ale wydaje mi się, że w własnym piśmie czynić tego po prostu nie należy. Tak samo nie

należy (vide: siódmy numer „Kontrastów”) zamieszczać entuzjastycznej recenzji o własnej książce, którą wydał łódzki oddział KAW. Ale nie on jeden tak postępuje...

Jak już wspominałem, wśród krytykowanych przez Karasia tytułów znalazła się również i „Kamena”, na którą (jak i bezpośrednio na mnie) rozwarł swe szczęki rekina. Według niego „Kamena” „stała się pismem bulwarowym. Przypomina przedwojenne czerwoniki”. Inkwizytor przeszedł tu sam siebie. Odnoszę wrażenie, że nigdy nie miał w ręku przedwojennego czerwonika, ani obecnej „Kamena”. Charta non erubescit, zaś caeca invidia est (przy okazji Karasowi osobliście przetłumaczył i bliżej moją myśl sprecyzuje), dziwne jednak, że krytykując bezbłędnie innych, Karas zupełnie nie dostrzegł własnego tygodnika, ukazującego się zresztą w Warszawie. W stopce redakcyjnej widnieje jego imię i nazwisko. Tytułu pisma taktownie nie wymienię, bo przecież nie o tytuł mi chodzi.

Otóż w ostatnim numerze tego tygodnika zauważyłem nie tylko krzyżówkę (żelazna pozycja), ale także i zdjęcie bardzo roznegliżowanej dziewczyny z wydatnym biustem i równie wydatnym tyłkiem. Czyżby, co wolno wojewodzie...?

No i gdy mowa o zwrotach poszczególnych gazet i pism, o co tak troszczy się Karas... W świetle tego tekstu sytuacja jest groteskowa. Właśnie sterty tygodnika, w którym on pełni funkcję członka kolegium redakcyjnego, przede wszystkim piętrzą się w kioskach „Ruchu”. Służę liczbą zwrotów z naszego regionu. Np. (pierwszy z brzegu) numer 33 (z tego roku) trafił do kiosków czterech wschodnich województw w liczbie 1462 egzemplarzy. Wróćcie... 1303. Pozwolę sobie zapytać: jak! to procent Romualdzie? Czy tylko połowa? Sądzę, że nawet po pastylce luminalu nie powinniście spać spokojnie! Medice, cura te ipsum!

A swoją drogą, jeśli Karas jest tak samo obiektywny w swych reportażach, jak w felietonach, to ja już nie mam niczego więcej do dodania.

M. A. Jaworski

PS. Nadtytuł felietonu Karasia brzmi: „Ziarno i pleśń”. Znalazłem tylko to drugie...

Lukasz Manzarek

REWIZJE OSOBISTE

Wiem że poznanie nie znajduje się
poza mną Jest zbyt późno by się cofnąć
Zbyt późno by wątpić

Nie patrz
jakby mnie nie było

Nie wypełniaj się tym czego nie ma

Nie ma tera który potrafiłby nas
ocalić Ani miejsca Ani takiego czasu

Ocalamy się sami
Ocalamy to co w nas pozostało I to
co utraciliśmy

Przemijanie jest poza Tobą
Dlatego nie potrafimy go ująć
Nie potrafimy pojąć

Może milczenie jest odpowiedzią

Mówisz zbyt wiele Dlatego słowa
zatracaają swój sens a pojęcia
stają się nierealne

Nie musisz mówić o rzeczach
o których nie masz pojęcia
Nikt Cię nie zmusza Nikomu
na tym nie zależy Jeżeli
czujesz się winny to winny
jesteś przede wszystkim sobie

Czasami zastanawiam się czy to że jesteś
obecny naprawdę Ci pomaga Czy naprawdę to
coś zmienia

Nie musisz przecież iść tak do przodu
Nie musisz słuchać tych którzy nie rozumieją
podstawowych potrzeb umysłu

Myślę że oni nie rozumieją nic

Nie musisz ich słuchać
Nikt nie płaci za uległość

Niewiele rzeczy na tym świecie
jest naprawdę prawdziwych O wielu

Sam nie jestem przeświadczony
Wiele sam wątpię Ale czy
nie znaczy to że jeszcze bardziej
potwierdziłbym uwierzyć w muzykę która jeszcze

nie zamarla

Mówię tak
ale nie jestem pewien
czy muzyka która jest we mnie powoli
nie zamiera.

Czy już wkrótce nie będę musiał wybierać
pomiędzy miłością a nienawiścią

Mogę pisać do Człowieka i poza Człowieka
nie wyjdę Ale to już jest wiele Wiele jak
na jedno życie Czasami zbyt wiele

Jest to część pierwsza cyklu pod tym samym tytu-
łem, nagrodzona główną nagrodą (ex aequo z Markiem
Barylą) na tegorocznej Warszawskiej Jesieni Poezji w
Konkursie Jednego Wiersza. Nadesłano kilkadziesiąt utworów.
Jury przewodniczył Bohdan Drozdowski. Lukasz
Manzarek jest członkiem Klubu Literackiego przy Lu-
belskim Oddziale Związku Literatów Polskich, a dru-
gim roku ubiegłym te same nagrody zdobył inny
członek tego klubu, obecnie należący do LO ZLP —
Paweł Gembal.

Frustracje rodzinne, zawodowe, kompleks autorytetu...

PWIEN znamy Anglika chwalił mi się swego czasu, że potrafił w sposób bezbłędny rozpoznać na londyńskiej ulicy przybysza z nad Wisły, nie zamieniwszy z nim uprzednio ani słowa. Osobnik ów charakteryzuje się, zdaniem mojego Anglika, przede wszystkim cierpiętnością, posępną miną. Napotkana niedawno w Lublinie Finka potwierdziła to spostrzeżenie, nazywając nas narodem samoudręczonym (self-pitying). Ponuractwo wytykali współziomkom także Daniel Passent i inni rodzimi publicyści, co zdaje się gruntować nasz zbiorowy wizerunek jako społeczności posępnaków i indywidualistów o szczególnie nasilonej skłonności do smutku. No cóż, historia nas nie rozpieszczała, a ostatnie lata chude nastroje to zapewne pogłębiły. Pogratulujmy się zatem bez reszty w mroku beznadziei i obnosimy swoje nosy spuszczone na kwintę z łicie masochistycznym uporem. W naszych kabaretach (istnieje ich jeszcze kilka) śmiech ma posmaczek cokolwiek gorzki i wybuch czystym brzmieniem jedynie na wzmiankę o białych niedźwiedziach, czemu towarzyszy zwykle chichotliwe posturkiwanie szałada i okrzyki: „Dobrze!” Śmiech zniknął z naszych ulic, zastąpiony w sposób bezdyskusyjny pijackim bełkotem lub soczystą wianką; nie dobiega nas także z otwartych (przy ładnej pogodzie) okienek wieżowców, pozostając jakby sferą zastrzeżoną wyłącznie dla świadomych rzeczy przedszkolaków, a i to w szczególnych okolicznościach.

Czy jest się z czego cieszyć? Otóż, odpowiem bez wahania, że tak. Jak w każdym bowiem życiu, jest pora rozterki, niepokoju i zadumy, musi być jednak także czas nadziei i optymizmu. Trzeba tylko umieć go odzyskać. Inaczej życie przestaje być zdrowe, a choroba, jak wiadomo, nie prowadzi z reguły do szczęśliwego końca. Dalsze popadanie w stan duchowego rozbawiania grozi nam wszystkim całkowitą zubożeniem jakości życia, wirówką nonsensu, która będzie skutecznie paraliżowała wszelkie próby efektywnych działań. Problem ten nie jest wcale mniej ważny od powszechnie dostrzeganych objawów patologii społecznej czy upadku obyczajów.

Dlatego z dużą satysfakcją przeczytałem w jednym z ostatnich numerów „Polityki” artykuł Zygmunta Kałużyńskiego zatytułowany „Jeden z Jedenastu”, a zwłaszcza ten jego fragment gdzie krytyk próbuje rozprawić się z nurtem tzw. „moralnego niepokoju” w polskiej kinematografii. Pan Zygmunt pisze (tekst cytuję po dokonaniu drobnej adiacji): „Cholera z tym moralnym niepokojem — mówi mi kolega Leszek — nie sposób go zatłuc, ciągle podskakuje i podskakuje. Miał na myśli maniery, uprawianą od dobrych 10 lat, zwaną »kino moralnego niepokoju«. (...) Rezygnacja ta wi-
si nad filmem od początku do końca; żyjemy w dole, jak stonogi, i jedynie, co zostaje, to się z tym pogodzić. Jak dalej zauważa w owym tekście autor, filmy spod tego znaku atakują społeczną rzeczywistość z różnych pozycji, w zależności od aktualnej sytuacji w kraju, a także skazują nieodmiennie swych bohaterów na śmierć samobójczą pod różnymi postaciami, w za-

leżności od klasy, z której się wywodzą, stanu świadomości, a nawet dostępnych reżyserowi środków technicznych.

Zwolennicy upatrywania powodów do goryczy w zaprogramowanym nieprawidłowo polskim losie niezmiernie rzadko próbują obciążyć za ów stan rzeczy samych siebie. Nieczęsto także w samych sobie dostrzegamy konieczność przemiany i dokopujemy się źródeł potencjalnego sukcesu. Tymczasem ostatnio wpadła mi do ręki książka wybitnego amerykańskiego socjologa dr Wayne Dyersa, zatytułowana „Pulling Your Own Strings”, co można by luźno przetłumaczyć na „Żyć

autentycznie”. Sądzę, że uwagi autora, odnoszące się do prawdy do rzeczywistości pozbawionej ponoć cierni i kolców, przeniesione na nasz rodzinny grunt, mogłyby okazać się nader pomocne w powolnym, lecz bezwzględnie koniecznym procesie wychodzenia z dna duchowej niemożności. Musimy tylko założyć, że korzenie zła tkwią w każdym z nas z osobna i że niekoniecznie należy własną niedoskonałość odnosić zaraz do geopolitycznych warunków świata.

Otóż Wayne Dyers twierdzi, że spora część światowej populacji należy do kategorii, którą umownie nazwać by można „kategoria ofiar”. Są to ludzie poddający się bez protestu rozmaitym naciskom otoczenia, co, prędzej czy później, wpędza ich w stręsy i frustracje, których efektem staje się z kolei miłkie, bezbarwne i beznadziejne życie. Wydaje mi się, że nasze społeczeństwo może stanowić kliniczną ilustrację powyższej tezy. Dyers wyznaje, że podstawową przyczyną nierealistycznego postrzegania rzeczywistości jest widzenie świata wyłącznie przez pryzmat własnych pobożnych życzeń i osobistych pragnień. „Oni nie powinni tego robić, to jest nie fair”. Tak właśnie oceniamy rzeczywistość, w sposób, w jaki chcielibyśmy ją widzieć, a nie tak, jak naprawdę wygląda. Ludzie po prostu będą postępować nieuczciwie, czy nam się to podoba, czy nie. Musimy zatem odłożyć na bok moralne rozważania na temat, czego świat nie powinien czynić, i zacząć się raczej budowaniem takiej postawy wobec zachodzących zjawisk, aby sprawić, by zło nie uszło nikomu bezkarnie. Dopiero wtedy możemy mówić o postawie konstruktywnej wobec życia.

To pierwszy, zdaniem Dyersa, krok w kierunku odzyskania własnej indywidualności i poczucia wartości. Następnie analizuje on pewne typowe zjawiska i odcinki zbiorowej egzystencji, w których obrębie toczy się szczególnie intensywna walka o zachowanie człowieczego „ja”. Spróbujmy zjawiska owe spolszczyć, co nie będzie

zabiegiem nazbyt trudnym, jako że w swej podstawowej warstwie życie pozostaje wszędzie jednakie.

Pierwszym takim obszarem konfrontacji staje się bez wątpienia życie rodzinne. 84 proc. ankietowanych niegdyś przez autora 800 Amerykanów na zapytanie, w jakiej ze społecznych sytuacji poczuli się najbardziej sfałszowani, odpowiedziało, że właśnie w rodzinie. Sądzę, że i u nas proporcje te wyglądałyby podobnie. Typowe przykłady rodzinnych nacisków to przecież: odwiedzanie krewnych wbrew naszym chęciom, a nawet sympatiom, obwołanie po mieście kuzynów, aby mogli załatwić własne interesy, wysłuchiwanie narzekań rodziców, dzieci,

szwagrów, usługiwanie ciociom itp. itd. O ile rodzina bowiem jest na pewno podstawową komórką społeczną w której zdobywa się fundamentalne wartości i nawyki, o tyle jest ona także instytucją, gdzie potrafi rodzić się i ujawniać bezkompromisowa nienawiść, niepokój i stres. Zachowanie w tzw. rodzinnych układach, bez uchybiania, rzecz jasna, zasadom dobrego wychowania, maksimum własnej osobowości jest poważnym krokiem ku odzyskiwaniu równowagi duchowej.

Drugim z kolei obszarem dojrzenia frustracji jest praca. Szefowie często sądzą, że ludzie, którzy u nich pracują, autentycznie wyzbyli się swoich ludzkich praw i indywidualnych cech charakteru. Zenująca niekiedy uniżoność podwładnych wobec przełożonych zniknęłaby zapewne z naszego życia społecznego, gdyby uściślić bardziej związek między kompetencją pracownika w zakresie obowiązków, które ma do wykonania, a jego karierą zawodową. Przypadkowe i niezastawione awanse prowadzą właśnie do objawów lizusostwa i poniżenia, które mają stanowić ekwiwalent niefachowości w wykonywaniu powierzonych zadań. (Pracownik zatracą wówczas pewność siebie, gdyż ma świadomość, że nie zna się na tym, co robi.)

Trzecim czynnikiem poważnie ograniczającym naszą niezależność jest tzw. kompleks autorytetów. Lekarz, adwokat, ksiądz, profesor, polityk wprawiają większość z nas w stan osikowego drżenia, a każda odmiennność poglądu wobec ich werdyktu ujawniana bywa jedynie szeptem i to w gronie bliskich znajomych, w dalekim zaślepieniu od szalejącego autorytetu. Efektem tego syndromu jest choćby ciągle jeszcze kulejące nasze życie parlamentarne.

przerejestrowanie samochodu, poprawienie błędnie wyliczonej należności za telefon czy elektryczność. Jedynym rozsądnym wyjściem z tej pułapki pozostaje założenie, iż wielu ludzi musi identyfikować się z daną instytucją celem zachowania własnego poczucia ważności. Zrozumienie tego faktu nie pozwoli nam na popadanie w stan jałowego gniewu i umożliwi spojrzenie na tę sprawę ze stosowną dozą stoicyzmu.

Najpoważniejsze jednak zagrożenie dla komfortu psychicznego stanowimy, niestety, my sami. Pomijając bowiem wspomniane wyżej kategorie i obszary „terroryzmu”, które można by zresztą mnożyć, każdy z nas decyduje o

przerejestrowanie samochodu, poprawienie błędnie wyliczonej należności za telefon czy elektryczność. Jedynym rozsądnym wyjściem z tej pułapki pozostaje założenie, iż wielu ludzi musi identyfikować się z daną instytucją celem zachowania własnego poczucia ważności. Zrozumienie tego faktu nie pozwoli nam na popadanie w stan jałowego gniewu i umożliwi spojrzenie na tę sprawę ze stosowną dozą stoicyzmu.

Cała trudność wyrasta z kompleksu zaprzeczonych decyzji, nieaktualnych już ocen, zadawnionych błędów. Człowiek z reguły bywa ofiarą własnej przeszłości, której nie potrafi, a czasami już nie chce, zweryfikować. Jeśli na przykład w wieku młodzieńczym podjął decyzję o wyborze określonej kariery zawodowej, znosi z uporem kategorię nieulubianej pracy, rutynę nieznośnej codzienności, skórę marazmu, nie czyniąc nic w kierunku wyrwania się z tego zaklętego kręgu. Podobnie bywa z poglądami i sentymentami wyniesionymi z rodzinnej tradycji, które być może stanowiły właściwą ocenę, dajmy na to, sytuacji politycznej z czasów Franciszka Józefa czy ministra Becka, obecnie jednak pozostają w jaskrawej sprzeczności z nowymi jakościowo układami.

Nowoczesność społeczeństw nie polega wyłącznie na proindustrialnym rozwoju ich struktury, ale także na stworzeniu takiej jakości indywidualnych i zbiorowych postaw, które gwarantują zgodność postępowania z obiektywnie postrzeganą rzeczywistością. Sądzę, że droga ku temu celowi prowadzi poprzez odrodzenie się prawidłowych i zdrowych moralnie zachowań każdego członka społeczeństwa. Rzecz cała na pewno wika się w różnego typu socjologiczno-historiograficznych uwarunkowaniach, póki co jednak spróbujmy sami, każdy z nas, wyzwolić się z ponuractwa i marazmu i zobaczyć siebie w zwierciadle poszbawionym skrzywił i przerysowań. Spróbujmy żyć własnym życiem, a z pewnością będzie nam się żyło łatwiej i wygodniej.

Szkopuł tylko w tym, że sam ten felieton wyszedł mi „na poważnie”, jeśli nie „na ponuro”.

Życie własnym rytmem

Henryk Więclawski

„U nas zawsze krew i blizna”

Dokończenie ze str. 1

miałem, jak mało mam czasu. A dzieci? Dzieci są dwujęzyczne, ale wrosły już w Anglię. Dla nich Polska, w sensie turystyki, nie różniłaby się niczym od Holandii. Wychowywaliśmy je po polsku, ale one przecież urodziły się w Anglii i mają prawo do angielskości. Nie pragnęłam dla nich żadnego wewnętrznego rozdarcia, które było choćby naszym udziałem. To skomplikowane i trochę smutne, ale takie jest życie.

Rozmawiamy teraz u mnie w domu i jest rok 86. Tamten pierwszy powrót pana Bogdana dojrzał już do retrospekcji. Jest w tym jednak i coś więcej; jego opowieść dojrzała także do mojego odbioru. Dwie Polski, które odnalazł, były przede wszystkim moje; teraz, nałożone na tamtą trzecią, którą starła przed laty historia stały się także i jego; a przecież wciąż mam pewność, że chodzi nam o ten sam kraj.

— Niech pan naleje jeszcze trochę tej whisky — mówi pan Bogdan. — Pewnie znowu przegadamy noc.

— Wracamy zatem do tamtych dni.

— W końcu znalazło się miejsce i pojechałem na lotnisko Heathrow. Wiozłem ze sobą trochę kawy i drobnych upominków dla dalekich krewnych i znajomych. Obok mnie pękły plastikowe torby pod ciężarem proszku do prania, oliwy do smażenia, szamponu i czekolady. Z grupką starszych Anglików patrzyliśmy w zdumieniu. Z tamtej odprawy na lotnisku utkwiał mi na zawsze w pamięci wywóz tych ogromnych ilości detergentów. Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć, choć tak naprawdę to ludzie wywozili wszystko, także książki. Rzuciłem okiem na ich tytuły dopiero na Okęciu. Miał je w walizce młody człowiek stojący przede mną. Najwięcej było o Katyniu i o Piłsudskim i trochę o papieżu. To było moje pierwsze zetknięcie z odkrywaniem na nowo Polską. Poczulem się tak, jakbym nie wychodził w ogóle z klubu „Orla Białego”. Widzi pan, w tamtym czasie mój stosunek do „Solidarności” był skomplikowany: i chyba skomplikowany pozostał. Znałem ją wówczas głównie z zachodniej prasy i przekazów telewizyjnych, mniej ze spotkań w Ośrodku Kombatanta. Przyjeżdżali do nas Lis i pani Walentynowicz. Ich hasła miały dla wielu swoją nośność. Czy pan wie, że one nagle ożywiły tamten umarły już rząd? Poczuli się znów potrzebni, a Raczynski nabrał niezwykłej ruchliwości. Bywał i przyjmował. Tylko Anglicy byli sceptyczni. Od początku. Najtrudniej szło, na przykład, Lisowi z Anglikami. Może to ich konserwatyzm, może polityczny nos, a może po prostu świadomość, jak nigdzie na świecie, czym mają być związki zawodowe. W tym czasie jeden z moich sąsiadów mówił, że strasznie boi się Wałęsę.

Pan Bogdan wstaje teraz z fotela i podchodzi do okna. W mroku nocy przesuwają się drobne punkty światła. Czekam niecierpliwie na dalszy ciąg jego wspomnienia i niemal fizycznie czuję, jak porządkuje teraz w sobie pospiesznie tamte sprawy. Siada.

— Na lotnisko wyjechali po mnie przyjaciele — mówi. — Od lat wymienialiśmy listy, raz nawet, w 78 byli u mnie. On inżynier, ona dentystka jak moja żona. Pojechaliśmy najpierw na obiad i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem powojenną Warszawę. Znałem ją oczywiście z gazet prenumerując „Życie Warszawy”, „Przekrój” i „Politykę”, a także z opowiadań ale to było coś zobaczyć ją naprawdę i wie pan, przywołała mi wtedy Londyn czterdziestych lat. Bezradosny, zmęczony tłum ludzi poruszających się nerwowo, kolejką pod sklepami pozawijane na rogach ulic, niepokój. Co do architek-

tury zaś, to odepchnęła mnie jej jedynostajna nowoczesność. Nie pamiętam nazwy tej restauracji, ale to było na Starym Mieście, chyba „Krokodyl”. To była dobra restauracja, a w menu wpisano tylko jedną potrawę: pieczona kaczka. Może trudno w to panu uwierzyć, ale tak było naprawdę. Czy pan to sobie wyobraża? Przyjeżdżałem z kraju bogatego, gdzie nigdy sklepowe półki uginały się pod ciężarem polskich wędlin, a jedno z zakodowanych pojęć o Polsce to „spizarnia Europy”. I teraz, w luksusowej restauracji, proponowano mi wyschnięte kaczki udko. To było gorsze niż sobie wyobrażałem, a potem kolejką za chlebem. Choć niech pan nie myśli, że patrze na świat przez pryzmat brzucha. Mój przyjaciel, Marian, wiozł w bagażniku trzy kanistry z benzyną, którą, jak mówił, udało mu się cudem załatwić. Co by pan wtedy

kowe, a zakłady podobnego typu pozostają zamknięte. Wszędzie widziałem krzyże i portrety papieża, na głównej sali było także jakieś hasło wybrane z jego wypowiedzi. Przyznaje, że nie tak wyobrażałem sobie komunizm. Było tam kilkudziesięciu młodych ludzi, w tym kilkanaście kobiet. Zięć Mariana należał do prezydium. Najpierw załatwiano jakieś sprawy organizacyjne, a potem zaczęto atakować rząd. To prawo związków, tylko jak to było robione... O strajkach już wiedziałem, że ich niezliczona ilość trwała na terenie całego państwa. A potem zięć Mariana przedstawił mi. Cóż miałem robić, wyszedłem na środek sali. Kiedy powiedziałem, że mieszkam w Anglii, ludzie zaczęli kiaskać. Takiej reakcji nigdy bym się nie spodziewał. Mówię szczerze, że przerażała mnie ta sympatia. Dla nas, Polaków, Anglia to osob-

ziwersi Wielki, Jagiellonowie, Staszko, jaki to warty nurt; praca i budowanie. U nas zawsze musi być krew i blizna. Pokolenie za pokoleniem. Widzi pan, zacząłem się bać znowu o ten kraj, nim jeszcze dobrze go dotknąłem, nim na powrót go poczułem. Wszystkie racje ideologiczne były mi wówczas obojętne. Ja czułem tylko, że Polska znowu się rozkołobała. Niech pan spróbuje zrozumieć to moje myślenie; ci ludzie przyszywali się do nas, które już dawno, na moich oczach, zweryfikowała historia. Czy to ja miałem im o tym mówić? Ja, „kapitalista” i wygnaniec? To było dla mnie niepojęte. Kiedy wychodziłem, wołał za mną, że będą walczyć, kiedy przyjdzie czas. Tej nocy nie zmrzyłem oka. Taki to był mój rozdarty powrót. A zięć Mariana już nas nie odwiedzał. Zawiodłem widąc jego nadzieje.

Zapalamy papierosy i nagle zaciąga się między nami milczenie; długa chwila ciszy, w której każdy z nas przewraca w swoich myślach, każdy wsłuchuje się w jakąś swoją prawdę.

— Pan najlepiej wie — mówi po chwili pan Bogdan — że nasz los nie jest prosty i to, co mówię, to tylko widzenie jednego człowieka. Na ten obraz nakłada się wiele drgań, wiele mozaikowych odprysków i ten strach. Ja także czułem, że coś musi się stać i to niedługo. Pewnie nie potrafię już tego oddać słowami. Zbyt wiele było poziomów, na których rozgrywała się moja rozpacz. Smutek nad materialnym ubóstwem, brak porządku, pracy i perspektyw, wyciągnięte z lamusa światełki bez twarzy, zapiekły gniew, marazm władzy. Wtedy nie odnalazłem Polski, Odnalazłem ośmienna-



Rys. Zygmunt Pytlík

czul? Taką zastałem Polskę po czterdziestu z górą latach nieobecności.

A potem był Lublin. To było coś dla mnie. Ale zanim mogłem przejść się po Krakowskim Przedmieściu, już porwała mnie teraźniejszość. Nocne i dzienne Polaków rozmowy; rozmowy, rozmowy, rozmowy; sprawy, o których tam starałem się właśnie zapomnieć. Zięć Mariana był działaczem. Odwiedził nas bodaj w drugi dzień po moim przyjeździe i wtedy padła wzmianka o tym wiecu, wiecu czy zebraniu. Koniecznie chcieli, żebym tam poszedł, a ja przecież nie przyjechałem robić polityki. Widzi pan, my wszyscy, ci „średni”, mieliśmy w Anglii swoje porachunki z Andersem. Jak mógłbym im to uczciwie powiedzieć? O tym myślałem. Ja nigdy nie przestałem być Polakiem, ale moje angielskie nawyki też miały swoją wartość. I stała za mną tamta tulaczka od Brześcia przez Irak i Włochy do Londynu. Stała za mną wojna. Za tymi młodymi nie stało jeszcze nic prócz goryczy. Zdecydowałem się pójść na to spotkanie jak niedługo Mel Wańkowicz, z którym współpracowałem w gazecie II Korpusu, zdecydował się pójść na wiec w Warszawie, w 56. Byłem, jak on, ciekaw świata, a także zrobiło mi się żal tego kraju. Zaprowadzili mnie po południu do jakiejś sali na terenie zakładu pracy Marian także z nami poszedł. Na Zachodzie byłoby to niemożliwe. Tam są specjalne lokale zwią-

ny temat. Gdyby ci ludzie z sali mogli przeżyć tamte wrzesniowe wpatrywanie się w niebo... Czułem się tak, jakby przykłaśnięto mojemu wygnaniu. Zaczęłam więc od Anglii. Mówiłem im o naszym losie w kraju dla Polaka najbardziej obcym z możliwych; mówiłem im o narodzie, którego pewne cechy wymagają bezsprzecznie szacunku, ale o narodzie hermetycznie zamkniętym i rasowo uprzedzonym jak żaden inny na świecie, o narodzie obojętnym wobec losu innych. Nie wierzyli mi. W miarę, jak przekazywałem im swoje najświeższe przekonania, wyrosło z fizycznego doświadczenia, trailem coraz bardziej kontakt z salą. Czułem to. Byłem przed wojną harcerzem, prowadziłem zebrania drużyny i wiedziałem, kiedy udawało mi się znaleźć zrozumienie słuchaczy. Dla tych ludzi Zachód był znów nadzieją. Jak ślepa może być naiwność? Widzi pan, perspektywa zachodnia uczy przynajmniej trzeźwego patrzenia na świat. Poczulem ogromne znużenie. Sala zaczęła mnie ciągnąć w stronę, w którą nie mogłem, nie chciałem dać się zaciągnąć. Teraz mówili już wszyscy, jeden przez drugiego, jak na szlacheckim sejmiku. Patrzyłem na tych rozgorączkowanych młodych ludzi i coraz bardziej doskwierał mi ból. Dlaczego narody nie uczą się niczego z własnych błędów? Kiedy pytałem ich o program, mówili, że najpierw muszą uprzątnąć dom. Niech pan spojrzy: Ka-

stowieczny pamiętnik z czasów tuż przed upadkiem. Moja wizyta była krótka. Zostawiłem za sobą rozbulgotany kocioł. Wracalem do kraju, gdzie ludzie są zapobiegliwi jak mrówki i gdzie stabilizacja, nawet bez imperium, oznacza życie. Wracalem z nowym kompleksem polskości. Mnie nie zawiodła niezaprzeczalna euforia tamtych czasów. Euforia można żyć krótko. Może już za bardzo „zangliczałem”. Zostawiłem za sobą głodowe marsze matek i strajki w szkołach, i wielkie napisy na murach. Wyjeżdżałem w przekonaniu, że już tu nie wrócę. A ja zawsze marzyłem, żeby mnie tu pochowano. Tamten powrót to nawet nie był powrót. To był koszmar jak z wizyty w Bejrucie. A jednak powróciłem.

— I co znalazł pan teraz?
— Garść wspomnień, ale tak naprawdę to wciąż jeszcze krajobraz po bitwie. Życie toczy się normalnie, zapelnily się półki w sklepach, ale pod powierzchnią czai się jakaś niemoc. Człowiek z zewnątrz to widzi. Zycie Polce, by się obudziła i zaczęła porządkować swoje sprawy szybciej, bo świat ucieka, i odrobina patosu: mam nadzieję spocząć w ziemi, która już nigdy nie będzie garściami wyrzucać swoich żywych na przemiał. Macie tu dużo do zrobienia, a ja tam pracowałem tak ciężko, że poczułem dobrą wartość budowania.

Wiesław Horabik

Deptanie wokół deptaka



Rys. Zbigniew Cieniuch

O jakiś czas odżywa w Lublinie wizja przeobrażenia Krakowskiego Przedmieścia — głównej ulicy miasta — w srodmiejski deptak z prawdziwego zdarzenia. Niejednokrotnie władze miasta w swoich poprzednich kadencjach przymierzały się, by z centrum Lublina wyprowadzić ruch kołowy, by ulowocześnie i atrakcyjnie handlowo-usługową funkcję srodmieścia, zachowując przy tym należne mu z wiekiem i historią walory zabytkowe. Tym bardziej, że Lublin zaczyna zyskiwać coraz to większe zainteresowanie turystów krajowych i zagranicznych; 2-3 tysiące grup wycieczkowych, odwiedzających rocznie nasze miasto, to niebagatelna liczba gości, skakających tu nie tylko zabytków, ale i dobrze zaopatrzonych sklepów (szczególnie pamiątkarskich), dobrych hoteli, niedrogiej gastronomii, przyjemnych barów i kafejek, żeby nie wspomnieć o innych atrakcjach. W końcu i mieszkańcom Lublina też by się coś od jego pryncypalnej ulicy, Krakowskiego Przedmieścia, należało.

Jak dotąd, nie udało się jednak uczynić z Krakowskiego Przedmieścia deptaka, ani takiego, jak podpowiadałyby lokalne potrzeby i wyobrażenia, ani takiego jak przykłady z innych miast — Pragi, Płowdwiu, Lipska, Karl-Marx-Stadt... Co prawda były próby czasowego ograniczenia ruchu na Krakowskim Przedmieściu, ale nie na długo. Wszystko, z braku obwodnic wróciło do poprzedniego stanu. I nagle latem tego roku ojcowie miasta wytoczyli konkretną już w planach i decyzjach batalię o centrum Lublina.

Pierwszy ogień skierowano na najbardziej neralgiczny odcinek Krakowskiego Przedmieścia, między placem Łokietka, do ulic Staszica i Osterwy (to na długość) i między ulicą Zieloną i Narutowicza (to na szerokość). Tutaj bowiem najbardziej widoczne są zagrożenia i degradacje substancji miejskiej. I tutaj też należy jak najszybciej — o ile istnieć mają nadal zabytkowe kamienice tego fragmentu Krakowskiego Przedmieścia — poddać tę substancję gruntownemu remontowi.

O szczegóły tego przedsięwzięcia poprosiłam wiceprezydenta, mgr. Feliksa Dobrzyńskiego, któremu sprawy handlu, usług i turystyki, a więc istotnych elementów koncepcji unowocześnienia funkcji srodmieścia Lublina, są bliskie, nie tylko z racji obecnych kompetencji.

Zacznijmy od intensywnie prowadzonych inwestycji komunikacyjnych w Lublinie, między innymi — bliskiej ukończenia trasy N-S (alei Władysława Gomułki łączącej ulicę Bieruta z tzw. „kli-

nem” przy ulicy Armii Czerwonej), niezbędnej do prawidłowego funkcjonowania trasy W-Z. Jeżeli tylko dotrzymane zostaną terminy wykonania tych inwestycji, a wiele wskazuje, że tak, to będzie się można spodziewać stopniowego wyprowadzania ruchu kołowego najpierw z zagrożonego odcinka Krakowskiego Przedmieścia, a potem całego centrum. A co z parkingami? Biuro Planowania Przestrzennego opracowało realne koncepcje upchnięcia samochodów w pobliżu centrum miasta bowiem w nim samym miejsca na parkowanie praktycznie już nie ma. Jeśli udałoby się zrealizować te plany, to rzeczywiście dojazd i dojście do srodmieścia nie byłoby aż tak trudne i uciążliwe, jakby się to obecnie wydawało.

Kolejna sprawa to pewien postęp prac konserwatorskich na Starym Mieście, który pozwala nakreślić bardziej już konkretny ciąg turystyczny wiodący Krakowskim Przedmieściem przez Bramę Krakowską — Rynek — ulicę Grodzką, ku Zamkowi Lubelskiemu. I tutaj właśnie zawiera się maksimum propozycji dla handlu i usług.

Centrum miasta nie może przecież nie przynieść — w takim układzie, jak powyżej — korzyści firmom, które ulokowałyby tu lub powiększyłyby posiadane obecnie placówki. Ojcowie miasta zwrócili się więc do lubelskich potentatów handlowych z propozycją nie do odrzucenia: dajemy wam lokalizację najlepszą jaka w mieście istnieć może, w zamian za wykonanie na wasz koszt i w waszym interesie — na co, niestety, w chwili obecnej miasta nie stać — dokładnej dokumentacji geodezyjnej i architektonicznej opracowanie projektu, no i wykonanie remontu przyjętego obiektu. Z jeszcze jednym warunkiem: podporządkowania się koncepcji konserwatorsko-architektonicznej tak, by w modernizacji, adaptacji i wystroju plastycznym nie było żadnych, pomniejszających zabytkową wartość budowli, dowolności.

Warunki wydawać by się mogły twarde. Ale jeśli policzyć, ile z tytułu niewykorzystania tej części miasta wycieka stąd złotych, i nie tylko złotych, rachunek staje się oczywisty dla tego, kto w porę zdecyduje się tutaj ulokować lub rozszerzyć działalność swojej firmy.

W czasie, kiedy rozmawiałam z prezydentem Feliksem Dobrzyńskim, niektóre firmy handlowe i usługowe już się zdecydowały, inne zgłosić się miały. Jakkolwiek by było, lubelski handel i usługi zyskać tutaj mogłyby co najmniej pięć tysięcy metrów kwadratowych dodatkowej powierzchni dla swoich placówek z pomieszczeń na parterach, piętach, w zaniedbanych podwórkach i oficynach.

Nie wykorzystane w przeszłości te właśnie lokale, tkwiące w wielu kamienicach przy Krakowskim Przedmieściu; nie tylko tam, okazują się dzisiaj rezerwa nie do pogardzenia. Ma tu więc powstać pasaż usługowo-handlowy, nasycony sklepami, butikami różnych branż oraz małą gastronomią, gdzie szczególna uwaga zostałaby zwrócona na elegancję i atrakcyjność preferowanych towarów i wyrobów, ich dobrą jakość, nie zaś na „zapchanie” stoisk prozaicznym i powszechnym przedmiotem. Poszerzone też byłyby istniejące tu sklepy takich branż jak jubilerska, muzyczna, szkło artystyczne i kryształ, rybna. Klub MPIK miałby natomiast „urosnąć” w górę, zyskując dodatkowe piętro.

Również restauracja „Polonia” powiększyłaby swój stan lokalowego posiadania. Jest to jedyna restauracja w mieście opalana węglem. Może to i zdrowiej do konsumentów, ale nijak się ma do nowoczesności i dobrych warunków pracy. Lokal jest ciasny, ale z tradycjami dobrej, regionalnej kuchni.

Sąsiednia „Cora”, sklep z damską modą, ma jeszcze większe tradycje, tyle że galanteryjne. To tutaj, jeżeli wierzyć Bolesławowi Prusowi i jego „Lalce”, mieścić się miał sklep Jana Mincia, który w handlowej spółce ze Stanisławem Wokulskim wszedł na stałe do polskiej literatury. Jan Mincel rzeczywiście prowadził tu taki sklep, który mógłby być wzorem dla niejednej lubelskiej placówki handlowej. Ale co ma „Cora” do „Polonii”? To, że ów lubiański sklep z modną, damską odzieżą na pewno znalazłby w zamian godny swej firmy lokal przy Krakowskim Przedmieściu, a restaurację „Polonia”, również chwaloną przez klientów, trzeba by było o „Corę” poszerzyć.

Z prezydentem Feliksem Dobrzyńskim rozmawialiśmy jedynie o przymiarach, jakie poczyniłyby pewne firmy handlowe Lublina. Ostateczne decyzje co do wyboru obiektów, partycypacji w kosztach inwentaryzacji i remontu — miałyby dopiero zapasać.

Tempo realizacji wygląda na razie jak deptanie wokół pasażu i deptaka. Bez skojarzenia terminów wykonania powziętych inwestycji komunikacyjnych, budowy parkingów z przeprowadzeniem prac remontowo-adaptacyjnych i wykwaterowań — długo jeszcze Krakowskie Przedmieście w Lublinie nie stanie się deptakiem z prawdziwego zdarzenia. Ale mimo wszystko coś się wreszcie zaczyna dziać.

(dey)

Z przeszłości Lublina

Władysław Kunicki

Józef Marczuk



Pol. Archiwum

Z NACZNA część lublinian codziennie przemierza drogę z domu do pracy jedną z najdłuższych ulic swego miasta, zwaną imieniem Władysława Kunickiego. Jednak tylko nieliczni i najstarsi z nich wiedzą o jego ciekawym, pełnym barwy, a także walki i rozterek wewnętrznych, życiu oraz bezgranicznym poświęceniu dla miasta i jego społeczeństwa.

Władysław Kunicki należał bez wątpienia do grona najbardziej zasłużonych i cenionych działaczy oświatowych i społecznych Lublina oraz regio-

nu w pierwszej połowie naszego stulecia. Jego działalność polityczna w Polskiej Partii Socjalistycznej znana była w województwie i w kraju. Sześciokrotnie wybierany do Rady Miejskiej Lublina w latach 1916-1939, wywarł na jej życiu szczególne piętno. Gdy po raz czwarty wybierano go radnym tego miasta w 1927 r., miejscowa gazeta „Ziemia Lubelska” tak przedstawiała jego sylwetkę jako pierwszego z listy PPS: „Kryształowo czysty charakter, ofiarność dla idei i gorące ukończenie sprawy wyzwolenia klasy pracującej zjednały dla Kunickiego sympatię szerokich mas robotniczych i pra-

cowniczych. Nazwisko Kunickiego jest dobrze znane jako nieustraszonego działacza i organizatora, na wskroś przejętego ideą nieprzejednanej walki o lepszą dolę świata pracy, o zwycięstwo demokracji” („Ziemia Lubelska” nr 106 z 10 VI 1927).

Z Lublinem Kunicki związał się w 1907 r. w wieku 35 lat i pozostał mu wierny do końca życia. Przybył do tego miasta jako człowiek starannie wykształcony i doświadczony, a także majątny dzięki odziedziczeniu spadku po zamożnym wujostwie. Urodził się

21 czerwca 1872 r. w Radomyślu na Wołyniu w rodzinie lekarza, powstańca z 1863 r. Dzieciństwo spędził w Zytomierzu, gdzie następnie uczęszczał do gimnazjum. Niewątpliwym wpływem na późniejszą drogę życiową i zaangażowanie polityczne Władysława wywarła patriotyczna atmosfera domu rodzinnego. Studia ukończył w Instytucie Technologicznym w Petersburgu, uzyskując tytuł inżyniera chemika. Już w czasie studiów zetknął się z polskim ruchem socjalistycznym, w którym brał czynny udział od 1900 r. w Zagłębiu Dąbrowskim, po podjęciu tam pracy zawodowej. Za działalność polityczną w PPS został w 1902 r. aresztowany przez władze carskie i zesłany na trzy lata do Selwiczegodsk w guberni Wołogda. obyt na zesłaniu odbił się ujemnie na jego zdrowiu, mocniej data znać o sobie gruźlica.

Pierwsze kroki w Lublinie stawiał jako nauczyciel matematyki w żeńskiej Szkole Handlowej Apolonii Serebackiej-Latosińskiej. Od roku 1910 był już dyrektorem tej szkoły, a od następnego, przez ponad 25 lat, także jej właścicielem. Ponieważ był człowiekiem samotnym, szkoła zastępowała mu dom rodzinny. Lubił pracę we własnym ogrodzie, uprawiał turystykę. Swoje gimnazjum Kunicki umieścił wkrótce w odkupionych za sumę 65 tys. rubli dwu dużych piętrowych domach nr 37 i 39 przy ulicy Namiestnikowskiej (obecnie Narutowicza), w których znaj-

Dokończenie na str. 8

Lubelskie lata Edwarda Stachury

Dokończenie ze str. 1

jak się zachowywał, co i jak pisał, że do tej pory, dla nas wszystkich, którzy znaleźliśmy go w tamtym okresie, Stachura pozostał na zawsze po prostu — Stedem...

A właśnie: „lubelskie lata Stachury”; jakże mało wiadomo na ich temat! Krzysztof Rutkowski załedwie w swym szkicu zaznacza, że (po zdaniu matury w Gdyni) Sted „w roku 1959 przebywał w Lubelskiem. Początkowo studiował w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a w roku akademickim 1960—61 zapisał się na romanistykę w Uniwersytecie Warszawskim”. I tyle. Zaś w tak poważnym i źródłowym wydawnictwie jak „Słownik Współczesnych Pisarzy Polskich” (PWN, Warszawa—Łódź 1978 r., t. II) w haśle dotyczącym Edwarda Stachury zamieszczono wiadomość, iż: „W 1959/60 studiował [on] na KUL, po czym rozpoczął studia romanistyczne na UW” I ani słowa więcej na temat tych dwóch lat, kiedy to Stachura studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Albowiem studia romanistyczne rozpoczął on w Lublinie nie w roku akademickim 1959/60, ale rok wcześniej. Wtedy też, jesienią 1958 roku, po raz pierwszy ukazał się na łamach lubelskiej prasy jego utwór, krótkie opowiadanie. Było to, nawiasem mówiąc, w półtora roku po tym, gdy Edward Stachura zadebiutował — jak wiadomo — na łamach dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Uwaga” (nr 6 z 1957 r.), wierszami „Metamorfoza” i „Odnalazły się marzenia”.

Pierwszy raz zobaczyłem Steda

gdzieś na przełomie jesieni i zimy 1958 r., chyba w okolicy placu Litewskiego. Jawi mi się w pamięci niezwykle wyraźna sylwetka chłopaka o bardzo młodej twarzy, niebieskookiego blondyna mającego krótkie, kręcone włosy, ubranego w jamobłękitną jeansową „olimpijkę” (tak wówczas mówiono) oraz „normalne” brązowe wełniane spodnie.

W takim stroju widziałem Stachurę tylko ten pierwszy raz. Bo potem zawsze już go pamiętam w dzinsowym komplecie: krótka lub długa (sięgająca połowy bioder) bluza z denimu, błękitna, rozpięta pod szyją koszula, spodnie marki „Lee”. W takich spodniach chodzili wówczas najwięksi koneserzy dzinsowego stylu, przedkładając je nad „Levisy”; nie mówiąc już o „Wranglerach” czy „Jchowej Boże, jakichś tam prostactkach „Rifle’ach”. W zimie Sted nosił jeszcze krótki, wyliniały jasno-żółty „wiatrem podszyty” płaszcz z fiaszu czy też „wielbłądziej sierści”, otrzymany zapewne w uniwersyteckim Duszpasterstwie Akademickim, a pochodzący z darów nadsyłanych przez zagraniczną Polonię. W latach późniejszych, już tych „warszawskich”, gdy wiodło mu się stosunkowo nieźle, widywałem Stachurę w całkiem eleganckim, kupionym na „ciuchach”, szarobłękitnym czy może szarozielonkawym „wielbłądzie”. Dopiero później, gdy zaczął wyjeżdżać za granicę, zaanektował do swego stroju wojskową, brezentową „komandosową” kurtkę w kolorze khaki... Czapki nie nosił nigdy, uważając, że byłby to dowód „zniewieścianości” człowieka takiego jak on: zdrowego, sprawnego i silnego fizycznie, co zresztą zawsze lubił podkreślać. Ten kult siły i sprawności fizycznej powodował, że Sted wciąż wadził się w jakieś burdy, bójkę, jakby chcąc się sprawdzić. Natomiast nieodłącznym elementem stroju Steda w okresie jesienno-zimowym był szalik. W czasach lubelskich: krótki i wąski „moher”. Nic dziwnego, że Sted stale marzył. Może dlatego chodził różnym, sprężystym krokiem, ale jakiś taki — przy całej swojej smukłej, zgrabnej sylwetce — jakby przygarbiony, z głową wtułoną w ramiona, z rękami w kieszeniach, żeby „zatrzymać na sobie” jak największą własną ciepłą. Co pewien czas tarł mocno dłońmi zacerzwione od mrozu uszy.

Na młodoartystycznym lubelskim firmamencie

Stachura zablasył nie od razu. Z początku traktowano go trochę jak jakiegoś Janka Muzykanta poezji, dziwną postać, trampa, który przybył, nie wiadomo skąd, i który nie bardzo wiadomo, do czego zmierza w swoim pisaniu: tak mało „intelektualnym”, o co zabiegali jego tutejsi rówieśnicy. W dodatku stronił od „literackiej kawiarni”, nie szukał literackich przyjaźni, dojsz i układów. „Sted — to prymityw” — mówiono. Szybko zalęczone go do miernych, choć wiernych kochanków poezji. „Nie umiał się znaleźć” w towarzystwie, „nie potrafił się zachować”, milczał w czasie dyskusji. Albo meł w ustach jakieś obraźliwe słowa, lub mruczał pod nosem przekleństwa...

Jego lubelska legenda rodziła się początkowo na gruncie uniwersyteckim. Najpierw — jako pozornie wielce prowincjonalnego prostactka, co to nagle... potrafił zapędzić w kózki asystentów i wykładowców na romanistykę swoją płynną, bogatą francuzczyzną. Następnie — jako „nieobliczalnego” kontestatora, nieledwie chuligana, pokerzysty i w ogóle „złego ducha”, parającego się, tylko dodatkowo, poezją. Sted, rozwalony na ławce na środku KUL-owskiego dziedzińca z nogami wyciągniętymi przez całą szerokość alejki, pluł „niechcący” pod nogi przechodzącym studentkom, warcząc eicho: „Te k-k-urewskie d-d-robnomieszczanki” (lekkę się zacinał). Sted „lał się” na studenckich zabawach i czupurnie stawał do draki podczas dancingów w reprezentacyjnej kawiarni „Lublinianka”. Sted sztydził i spoglądał na świat spoje ła. Jeszcze wówczas nie dostrzegano jego i n n e g o spojżenia: z jego, mających dopiero się narodzić, wierszy, poematów, powieści; tej „całej jaskrawości” Steda, tej „jego „czułości”, wrażliwości, „falowania na wietrze”...

Najbardziej charakterystyczną, łatwo rzucającą się w oczy cechą Stachury była, już w tamtych studenckich lubelskich latach, jego osobność. Sted nie tylko był inny — zarówno jako członek studenckiej społeczności, szarej masy zaferowanej mrówczą krzątaniem po salach wykładowych i pracowniach, jak i początkujący pisarz dystansujący się wobec zawiązujących się młodych grup poetyckich i ich programów. On po prostu był zwykle sam z sobą. Najczęściej widywało się go, jak samotnie szedł ulicą na wykłady, jak samotnie, z łubosią, wygrzewał się na słońcu, zawsze na tej samej ławce na środku KUL-owskiego dziedzińca, po lewej stronie od głównego wejścia, lub gdy samotnie siedział nad szklanką herbaty w którejś z kawiarni. Obserwowałem go przez długi czas z daleka, jeszcze nie znając osobiście, najczęściej właśnie na korytarzach i na dziedzińcu Katolickiego Uniwersytetu, gdzie ciągle tkwiłem, bo moja dziewczyna studiowała tam historię sztuki!

Inna sprawa, że Stachura był o kilka lat starszy od swoich kolegów z roku. Gdy zaczął studia, miał lat dwadzieścia jeden, podczas gdy oni liczyli w większości po lat osiemnaście. Przyszli na studia prosto po maturze, po kilku latach „zaliczania” kolejnych klas gimnazjalnych bez większych wstrząsów i burz życiowych. W wypadku Steda było inaczej. „W jedenastej klasie mnie naszło — miał napisać w 1960 r. w poetyckim tekście-wyznaniu »Która jest jak oliwa na wodę« opublikowanym w »Kamienie«. [...] Zaczęłem zaniedbywać fizykę. Wszystkie inne przedmioty. [...] Polubiłem teraz samotność. Polubiłem milczenie. Wkrótce uciekłem z domu. Mój ojciec musiał chyba płakać wtedy. Ja też chciałem płakać, kiedy pisałem pożegnalny list, ale uznałem, że to niegodne mnie, mężczyzny. Kolumba, mnie. Później, kiedy niejednokrotnie chciałem płakać, wiedząc, że sprawi mi to ulgę, lzy jak małe liski pochowane w swych norach lękały się wyjść, chociaż myśliwy dawno już odszedł, chociaż już dawno odszedłem. [...] Mój pierwszy wiersz mówił o pracy pająka. Pamiętam go, jak wszystko to, co napisałem. [...] Myślałem wtedy, że to najpiękniejszy wiersz świata. [...] Pisałem dalej. Najwięcej o księżycu. [...] Co noc, powoli, bardzo powoli [...] niezmiernie powoli rozdziły się słowa i przekonanie, że to całe pisanie nie jest chyba tak proste, jak zarzyniecie woli, śpiewanie kantyleny czy reperacja buta. [...] Nad jednym słowem wypalałem dziesięć papierosów, obgryzałem dziesięć paznokci. Im więcej pisałem, tym więcej się mozoliłem, bardziej cierpiełem. [...]”

Nie wiem, dlaczego Stachura postanowił wybrać na miejsce studiów właśnie Lublin. Przecież mieszkał z rodzicami w Aleksandrowie Kujawskim, do gimnazjum chodził w Ciechocinku a maturę zrobił ostatecznie (po jakichś to perypetiach, po jakich ucieczkach z domu i ze szkoły, po jakich okresach podróży-włóczęg po całej Polsce?) w liceum ogólnokształcącym w Gdyni. Co miał wspólnego z kolegami ze swojego roku, z tych zapyziałych miast i miasteczek Lubelszczyzny, wówczas jeszcze deskami zabitej, on, który urodził się w „słodkiej Francji”, dokąd jego rodzice wyruszyli kiedyś w poszukiwaniu pracy i chleba, a Polskę zobaczył po raz pierwszy na własne oczy, będąc już jedenastoletnim chłopcem?

Sted szokował

swoich kolegów ze studiów na każdym kroku. Zaczęło się to już podczas egzaminu wstępnego na romanistykę na początku lipca 1958 r. Nell Słomowska-Strzałkowska, która w gronie kilkudziesięciu innych kandydatów mozoliła się nad pisemnym tematem egzaminacyjnym, zauważyła w pewnej chwili, że jeden z chłopców, blondyn o kędzierzawych włosach, siedzi z założonymi rękami nad pustą kartką papieru, jakby egzamin jego nie dotyczył. W pewnym momencie podszedł do niego obec-

ny na salę asystent, mgr Alfons Pilarz, człowiek, który był w tamtych latach postrachem studentów romanistyki, a jeszcze większym — kandydatów na studia, i groźnym głosem zapytał: „Dlaczego pan nie pisze?”. „Ponieważ nie mam pióra” — odparł Sted, najczystsza francuzczyzną, głosem, w którym czaiło się wyzwanie. A potem dorzucił jeszcze kilka następnych zdań. Pilarz najpierw zanie-mówił z oburzenia, a potem, machinalnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył Stachurze swoje własne wieczne pióro... To był właśnie początek uczelnianej legendy Steda.

W Lublinie debiutował

Edward Stachura na łamach „Sztandaru Ludu” z 7 listopada 1958 r. w redagowanym wówczas przez Zygmunta Mikulskiego dodatku tygodniowym „Kultura i Życie” krótkim opowiadaniem — „Piękna przygoda”:

„Siedzę w poczekalni dworcowej — oparty łokciem o stół. Przed chwilą przyjechałem do tego nie znanego mi miasta. Jest dokładnie czwarta godzina nad ranem. Muszę poczekać tutaj do świtu. Potem wyruszę na poszukiwanie kobiety, którą spotkałem tego lata na jeziorach...”

Nie była to jeszcze proza wysokich lotów; nie sądzę, aby ktokolwiek wtedy — po jej przeczytaniu — wyróżnił nazwisko Stachury wśród innych młodych lubelskich autorów, którzy szturmowali te dwie kolumny dziennika zawiadywane przez popularnego „Mistrza” (Mikulskiego). Powtarzały się najczęściej nazwiska Wojciecha Zajdlera (studenta medycyny, który później skończył szkołę aktorską w Warszawie, a ostatecznie poświęcił się reżyserii teatralnej), Ryszarda Pawlaka (ten był chyba ulubieńcem „Mistrza”, bo drukował w „Kulturze i Życiu” wiersz za wierszem), pojawiły się pierwsze wiersze Zbigniewa Falkowskiego, Andrzej Tchórzewski i Andrzej Turczyński drukowali najczęściej już tylko w bardziej prestiżowej, literackiej „Kamienie”.

Przez kilka następnych miesięcy Sted niczego więcej już w „Kulturze i Życiu” nie zamieścił. Dopiero w „Kamienie”, w numerze 6 z 31 marca 1959 r. znalazły się jego dwa wiersze: „Dolina obiecana” oraz:

Niebo to jednak studnia
a więc tyle cembrowin
ile smutku i gwiazd

Lecz najsmutniej jest wtedy
kiedy skalpel księżycy
otwiera obłok
jak brzuch delfina.

Kilka miesięcy wcześniej, pod koniec 1958 r., zadebiutował na łamach „Kamienia”, jako poeta, Zbigniew Strzałkowski, starszy o dobrych kilka lat od Steda student II roku historii sztuki, a skądinąd jego współlokator z pokoju nr 16 w Domu Studenckim KUL przy ulicy Sławińskiego.

Owa słynna „szesnastka”, mieszcząca się na pierwszym piętrze starej przedwojennej kamienicy zaadaptowanej na męski „akademik”, była tak zwanym „kolchozem”, dużą salą, w której na żelaznych piętrowych przykrytych burymi, szorstkimi kocami łózkach, gnieździło się kilkunastu potencjalnych magistrów, doktorów humanistyki, poetów, pisarzy, plastyków i... co kto woli. W tejże „szesnastce” zamieszkał w rok później nasz redakcyjny kolega, Ireneusz J. Kamiński, szkolny kolega Stachury jeszcze z Ciechocinka, którego, notabene, Sted namówił na studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Spali na jednym łóżkowym „tandemie” — Sted na górze, Irek na dole. Ale to już inna historia...

Akademik przy ul. Sławińskiego wydawał mi się zawsze nieprzytulny, ciemny i ponury. Przy nim nasze UMCS-owskie i WSR-owskie bloki w Miasteczku Akademickim przy ul. Langiewicza — z trzema (tylko!) spiętrzonymi łózkami w widnych, choć przesywanych lodowatym wихrem ciągnącym od wzgórz, na których budowała się Lubelska Spółdzielnia Mieszaniowa, pokojach — wydawały się prawdziwym, socjalistycznym rajem. Na Sławińskiego nocami wyły ponuro karetki, znajdujące się po drugiej stronie ulicy, Pogotowia Rantunkowego, na Sławińskiego nie uświadczyło się widoku kobiecego ciała: w „pakamerach” rezydowali mężczy (z uwagi na obyczajność) „sprząta-cze” oraz „pracze”...

Przez ten Dom przewinęli się: Zbyszek Doma-rańczyk, przyszły krytyk filmowy Boguś Zagroba, poeta i artysta plastyk Zbyszek Strzałkowski, Stachura Kamiński, a później także literat Janusz Olezak i piosenkarz Kazio Grześkowiak. Nawet — poeta Tadeusz Kwiatkowski-Cugow. Ale tylko „na waleta”, jako że polonistykę studiował na UMCS-ie, zaś na Sławińskiego zgłosił się u Grześkowiaka „z polecenia” Steda, który wówczas już studiował na Uniwersytecie Warszawskim.

Otóż między innymi także w KUL-owskiej „szesnastce”, przy dźwięku gitary, na której zwykł grywał Stachura (gitara była nie jego), przy jednej i drugiej butelce jabłkowej „berbeluchy” patykiem pisanej w Milejowie, zaczęły się jesienią 1958 r. toczy dyskusje na temat zorganizowania wielkiego spotkania-mityngu i zarazem wieczoru autorskiego młodych lubelskich twórców — poetów i prozaików, mającego ożywić i odświeżyć zgnębiającą artystyczną atmosferę Lublina.

(c.d.n.)

Mirosław Derecki

AZEBY

Eugeniusz Jewtuszenko

KOCHAM CIĘ, ROSJO

Ja się nie bawię w demokrację,
gdym za granicą (to się zdarza),
przez skórę czuję, tak jak brata,
każdego ziemi tej nędzarza.

Ja się nie bawię w humanistę,
gdym, gdzie żywoplot się rozkracza,
(harmonia rżnie, to oczywiste!),
koł me serce pieśń wieśniacza.

Ja się nie bawię w liberała,
jeżeli chcę, by, przede wszystkim,
doła nikomu nie zabrała
praw jego, choćby z małym zyskiem.

Ja się nie bawię w patriotę,
jeżeli, wśród wilczego grona,
chrypię gdzieś w tajdze, pośród błota:
„Kocham Cię, Rosjo, ma rodzona”.

Nie bawię się w kosmopolitę,
co w zgodzie żyje z całym światem;
żał, gdy paryski targ przekwita,
razem ze starym mym Arbatem!

W nic się nie bawię i nie łamię
i od nikogom niezależny,
czy w chacie, czyli też w wigwamie,
na scenie, czy — gdzie szynk przybrzeżny...

I, choć nie w smak to pedagogom,
co dzień szafuję swą osobą;
za wolność ginę, chwala bogom!
za prawo — bycia samym sobą.

Przełożył z rosyjskiego:
Andrzej Cesarz

Władimir Wysocki

Nie ma mnie, porzuciłem już Rosję!
Moje panny chodzą pochlipując!
Roztrwonilem wszelkie animozje:
Po Elizejskich Polach wędruję.

Ktoś rzekł wśród straganów pełnych pieśni:
— Był odmieniec z niego w każdym calu,
Niech swe dziwne i obce nam pieśni
Spiewa tam o ich złotym Wersalu.

I słyszę jak ktoś mówi półszepem:
— To nie on, tamten uciekł, zapytaj!
To nie jest ten sfrustrowany sceptyk,
Który wrogie gazety wciąż czytał.

A koleżka, co był w Magadanie,
Mój brat król z czasów ostatniej wojny,
Mówi, że piszę do niego: „Wania,
Smutno mi, a więc przyjeżdż tu do mnie.

Ja naprawdę do kraju chcę wrócić,
Placzę wciąż i na jakiś cud czekam...”
Lecz ojczyzny ja nigdy nie rzucę,
A dlatego, że stąd... nie uciekłem!

Kto pochopnie uwierzył w tę plotkę,
Temu dalszy ciąg dopisze kino:
Miej swój happy end, ciężki idioto,
Szykuj nalot na San Bernardino!...

Przełożył z rosyjskiego:
Roman Gorzelski

Micha Kwliwidze

Mieszkam w Moskwie — z dawna zasiedziały —
ale dusza jest w Kartlii*), ze smutkiem
myślę, że brzoskwinie i migdały
przymierzają sukienki nowiutkie.

Sercem jestem wciąż tam, gdzie brzoskwinie
nie dostają kataru — nieskromne,
stoją w kwiatkach. Ja wiem, że przemienie
buszowanie miłości ogromne.

Miła, przecież to ja, więc pocałuj,
cóż, że włosy siwizna przyprószy...
Moje ciało w Moskwie zamieszkało,
ale trudno mu ukryć brak duszy.

Przełożył z gruzińskiego:
Andrzej Biń

Michail Łukonin

Żyć ponad normę —
próżność i cierpienie.
Wtem gorąca kula mnie dotknęła,
a ja nad ziemią zawisłem jak cieniem,
i moja pamięć w dal odpłynęła.
Czterdziesty

pierwszy
był.

Od owej chwili
Żyję, przypadkiem uratowany.
Rozliczam teraz to, co czas uchylił
i sprawdzam
w wierzeniach mych przemiany.
I żyję sobie, lecz jakby w malignie.
Idę — a zdaje mi się, że stoję,
a wszystko we mnie powołułku stygnie,
na brzegu śmierci teraz sny moje.
Wiem —

ze mnie śledzą waszych oczu roje:
bo wdycham i dziwnie się uśmiecham,
lecz ja niczego dziś już się nie boję,
bo czas ów we mnie tkwi groźnym echem.
Śmieję się ze złośliwości naiwnych
i wdycham po moich przyjaciółach —
imiona ich brzmią niesłyszalnym hymnem,
widząc was,
przed nimi chylę czoło.
Karabin ten na brezentowym pasie,
oto czym ja byłem odznaczony.
Nie ciekawi mnie —

bo moją
już jestem nasycony.

I jakby pod ogniem celnym,
krzyżowym,

stój, pomniku,
przed ludźmi spokojnie.
Choć Nieznanym Żołnierzem jest dla żywych,
ja go dobrze znałem z czasów wojny.
Żyję nad normę

i życie sławię wciąż po wiek wieków.
A powinienem odejść ostatecznie,
lecz ja kroczę swą drogą człowieka
tam, gdzie kiedyś śmierć zmierzyła się ze mną,
aby
posłuchać ognia
raz jeszcze,
ostatni raz

pochylić się nad ziemią:
zmarłych, nieznanych, dogonić wreszcie.

Przełożył z rosyjskiego:
Roman Gorzelski

Tamara Kołomijec

BOLESNA BALLADA

Powstał ten śpiew dla wysokiego nieba,
Z radością późną, z bolesną miłością.
Każde w niej słowo — dla ptaka jasnego:
I krzykiem było, choć miało być pieśnią.
A pieśń krzyczała, bo żalostí była,
Jak dom bez światła, jak bez skrzydeł ptaszę,
Które się niegdyś z wichrami zmagalo:
A być bez skrzydeł to istnienie straszne.
Tragiczna nuta zwiśla nad przepaścią,
W niebie została pióra białą śmiercią,
Zrodzona w sercu z bolesną miłością,
Stała się krzykiem, choć zwano ją pieśnią.

Przełożył z ukraińskiego:
Roman Gorzelski

Piotr Wieglin

Serca czujnie otwarta źrenica
notuje czasu upływ.
Więcej jest szczęścia

niż smutku
w spostrzeżeniu: Wszystko płynie.
Zaczerpnijcie z zamłynia wody —
ujrzyście odbicie wasze —
nikt po dwakroć w czas nie wchodzi:
odpoznanie równe jest utracie.
Chciałoby się zawrócić do Wczoraj...
no i na nic!

niepodobna!
Ta dziewczyna wczoraj pełna wigoru
dziś do siebie niepodobna.
Więc jest w zgodzie z Heraklitem oko nasze:
Wszystko płynie.

Cóż, że nam przez to smętnie!
Błogosławimy cię, płynący spiesznie czasie,
byłeś nam upłynął pożytecznie.
Kłosek wypływa z brzozy.
Wszystko na tym świecie jest celowe.
Mleczna Droga spod brody
drzemiącego mieszczucha nad Wołgą.

Przełożył z rosyjskiego:
Tadeusz Chrościelewski

chciałbym być
w każdym zakątku ziemi
by opowiedzieć tobie o ludziach

zbuduję miasto
z niezwykłą architekturą
był w nim mieszkała

pasadzę ogrody
najpiękniejsze na świecie

wszystko oddam

tylko pozwól
zaistnieć w twojej rzeczywistości
przynajmniej na chwilę

Przełożył z rosyjskiego:
Tadeusz Karabowicz

Maksym Tank

Wszystko zaczęło się od igły,
Którą kiedyś matka kupiła.
Igła jej była potrzebna,
Aby mi uszyć lnianą koszulę.
Koszula potrzebna była,
Aby okryć me ramiona w drodze.
Droga mi była potrzebna,
Aby znaleźć swoje szczęście na świecie.
A to szczęście potrzebne było,
By napisać piosenkę wesolą.
A piosenka była potrzebna,
Żeby włączyć nie płakala matka,
Którą użądliła w palec igła.

Przełożył z białoruskiego:
Roman Gorzelski

Zurab Kuchianidze

Aby wachlarzem był dla ciebie,
pochwyć motyla polnego.
Przed słońcem osłoń twarz swoją —
nie szukaj ratunku innego...
Pocalunek wyłudzę w tym cieniu:
jeżeli wystarczy jednego.

Przełożył z gruzińskiego:
Andrzej Biń

Andrzej Wozniesieński

ZIEMIA

Lubimy nogami bosymi
Stąpać po ziemi.
Po miękkiej, świeżej, drogiej nam ziemi.
A gdzie? W Abisynii?
Albo w Meksyku?
W Hawanie? W pustyni?
W rzazańskiej wsi?
My
Ludzie
Po ziemi stąpać lubimy.

W nas prądy ziemi jak dreszcz przebiegają.
Lecz jak izolator nas rozdzielają
Auta, asfalty i ulic kamienie...
A miastach nie znają już zapachu ziemi.
I nagle uśmiech — przez miasto, przez gnejsy

Zielone drzewo
wystrzeła
jak gejzer!...
Marzę o ziemi bez kajdan, okopów,
Niezakopconej, tej w snach teleskopów,
W eukaliptusach w lipach, w powich tęczach,
W szalonych windach,
W aluminium deszczach!
Świat mór i kobiet, pociągów naprzeciw —
Furczy, obfity,

cudownie — człowieczy?
A gdzieś, tam na Marsie, wyjdzie gość z Ziemi.
Wyjdzie. Uśmiechnie się. Wyjmie garść ziemi.

Garstkę drogiej, gorącej,
Gorzkiej trochę, pedzającej
Daleko w świat wielki
Ziemi — rodzicielki!

Przełożył z rosyjskiego:
Roman Gorzelski

Rosyjskie spotkanie z diabłem

Leszek Mikrut

KTOŻ z mieszkańców Lublina nie zna stojącego pośrodku Starego Miasta gmachu Trybunału i związanej z nim legendy o obitym ongiś w jego podwojach diabelskim sądzie, którego przewodniczący wyrok swój, jak przystało na herszta biesów, przypieczętował rozpaloną czarcią łapą. Namacalny rezultat owego posiedzenia można po dziś dzień oglądać w podwojach Muzeum Okręgowego na Zamku, a jest nim stół z wypalonym, jak podaje dawny przekaz, czarnym śladem diabelskiej ręki. Rokrocznie coraz to nowi mieszkańcy i goście Koziego Grodu naocześnie przekonują się o nieznającej granic ludowej fantazji, będącej odzwierciedleniem marzeń narodu.

Lubelska legenda, dotycząca diabelskiego sądu, opowiada, jak wiadomo, o sporze ubogiej wdowy z bogatym magnatem dążącym do przywłaszczenia sobie jej własności. Zrozpaczona kobieta, nie znalazłszy zrozumienia wśród dostojnych namiestników Temidy, mimowolnie przyzwała na pomoc wysłanników piekła, którzy okazali się bardziej „ludscy” od sędziów trybunałskich.

Niezwykle podobny motyw, ukazujący ludowe rozumienie sprawiedliwości, ma również w swej bogatej skarbnicy kulturowej naród rosyjski. Tworzący w drugiej połowie XIX wieku jego przedstawiciel — Grigorij Danilewski (1829—1890), zapomniany obecnie, choć poczytny niezwykle w swej epoce autor powieści obyczajowych („Zbiedzy w Noworosji”, „Swoboda”, „Nowe mielca”, „Dziwota fala”) i historycznych („Mirowicz”, „Spalona Moskwa”, „Księżniczka Tarakanowa”, „Straszny rok”), opublikował w 1853 roku napisaną mową wierszowaną bajkę „Czarty”, wchodzącą w skład jego cyklu ukraińskich opowieści ludowych, zatytułowanych „Bajki stepowe”. Treść tego niewielkiego utworu została zapożyczona z ludowej fantazji. Jest mało prawdopodobne, aby autor mógł wzorować się na naszej lubelskiej legendzie.

Wprawdzie dwa razy przejeżdżał koleją żelazną z Petersburga przez Warszawę na zachód Europy, lecz nie zatrzymywał się na terenie ziem polskich i obydwie podróże odbył już po dotarciu „Czartów” do rąk czytelników.



Rys. Andrzej Bronikowski

W podobieństwie tematycznym obydwu utworów należy doszukiwać się wspólnego różnym narodom dążenia do wstawienia za nimi sił uważanych tradycyjnie za wrogię człowiekowi, utożsamianych ze złem, ale broniących ludzi słabych, pokrzywdzonych przez tak zwanych „Sprawiedliwych”.

Tak więc centralnymi postaciami, zarówno lubelskiej legendy, jak i bajki Danilewskiego, są ubogie wdowy szukające sprawiedliwości. A przelkupnym miejskim sądzie w sporze z cynicznymi, chciwymi magnatami i ładzące się, iż prawda ponad dukaty i złoto jest postawiona. Przedmiot sporu był tylko inny: nasz sąd rozpatrywał sprawę o chłopski zagon, rosyjski zaś o małą izdebkę. Inne różnice są przeważnie natury fabularno-opisowej i dotyczą szczegółów, a nie sedna sprawy. Legenda o czarnej łapie przynosi dokładniejsze przedstawienie scenarii sądu, ubiorów ludzi, insygniów władzy; wdowa z grodu nad Bystrzycą jest też bardziej buntownicza, odważniejsza od swej pokornej, godzącej się z własną krzywdą rosyjskiej towarzyszką niedoli. Nieco inny jest również zasadniczy motyw ingerencji mocy piekielnych w sprawę ludzką: do Lublina wysłannicy Bełzebuba zostali jakby wezwani przez samą rozgoryczoną poszkodowaną, zaś u Danilewskiego sprowokowało ich wyzwanie rzucane przez zbyt pewnego swej wyższości magnata.

Miejscem akcji obydwu utworów jest sąd miejski, do którego czarty przybywają nocą (w rosyjskiej wersji po raz drugi także rano odwiedzają one przybytek sprawiedliwości) celem spisania diabelskiego, tak zasadniczo różnego od ludzkiego wyroku. Przed lubelski Trybunał goście rodem z piekła zajęli karetkami, mając na czele swego przywódcę, zaś przez rosyjskie miasteczko ciągnął ich różnobarwny korowód, w którym panował podział jedynie na młode i stare, siwe już czarty, brak było wśród nich indywidualizacji. Samo posiedzenie diabelskiego sądu ukazane zostało przez Danilewskiego w sposób bardziej lapidarny. Różnica jest także widoczna w przekazie postępowania miejskich sędziów. W przeciwieństwie do przypadku lubelskiej buntowniczo usposobionej wdowy, wydający na nią wyrok od razu podporządkowali się werdyktowi niecodziennych przybyszów, zaś rosyjski wymiar sprawiedliwości przeciwstawiał się, choć co prawda bezskutecznie, mocom piekielnym.

Punktem stycznym legendy i bajki, oprócz ich tematyki, jest również zakończenie obu utworów, w których krzywda wdów została naprawiona przez zwrócenie im zagarniętego siłą pieniądza i nieuczciwością sędziów majątku. Morał jest więc jeden, a w myśl jego: nie wolno igrać ludzka krzywdą, w wypadku zaś, gdy już ona nastąpiła, należy ją bezzwłocznie naprawić, gdyż sprawiedliwość ma zawsze oznaczać tylko i wyłącznie sprawiedliwość...

Władysław Kunicki

Dokończenie ze str. 5

dował się także internat oraz mieszkania dla nauczycieli i woźnych. Dbał on o podnoszenie poziomu naukowego i wychowawczego szkoły. Uczące się w niej dziewczęta uczestniczyły w organizacjach samokształceniowych i niepodległościowych oraz w tajnej drużynie harcerskiej. „Wychowawcy z „Handlówki” — pisze Stanisław Michałowski — doskonale wiedzieli o działalności tych organizacji, nierzadko inspirowali ją, a swoim życiem dawali młodzieży dobry przykład. Wiodącą rolę spełniała tu postać dyrektora Kunickiego, który w oczach dziewcząt był „żywym bojownikiem o niepodległość Polski, co napełniało ich młode serca wielką dumą, pogłębianą podczas corocznych wycieczek kończących rok szkolny, w czasie których był dla nich starszym kolegą” (S. Michałowski, Gimnazjum Żeńskie Władysława Kunickiego, „Kalendarz Lubelski” 1932).

W okresie międzywojennym szkoła Kunickiego najwcześniej uzyskała pełne uprawnienia państwowe, przyjmując w 1921 r. nazwę: Gimnazjum Żeńskie Matematyczno-Przyrodnicze. Uchodziła ona wówczas za bardzo postępową placówkę oświatowo-wychowawczą. Jej dyrektorem był dla kilku pokoleń wychowanków wzorem dobrego pedagoga i demokracji. Umiął pozyskać dobre sily nauczycielskie, jak Zofia i Oktawian Zagrobczy, Alodia Popławska, Wiktor Heiman, Józefa Kunicka (siostra Władysława). Związana z Lublinem od 1912 r. działaczka społeczna Wanda Papiewska tak napisała we „Wspomnieniach bezpartyjnej” o szkole Kunickiego: „Duch i metody pedagogiczne panowały w tej szkole odmiennie niż w innych szkołach w tym czasie. Była to szkoła charakterów, wychowywano młodzież w atmosferze poszanowania człowieka, czci dla pracy. W szkole tej nie był stosowany przymus praktyk religijnych. Przyjmowano wiele dzieci robotniczych, stosując dla nich ulgi w opłatach lub całkowicie z nich zwalniając”. Oceniając Kunickiego jako społecznika i wychowawcę, Papiewska dodaje jeszcze: „Był wychowawcą, który nie moralizował, lecz żył z nimi, ofiarą pracą społeczną, umiał wiązać szkołę z życiem i przepoić młodzież poczuciem obo-

wiązku względem ojczyzny i społeczeństwa” (W. Hempel-Papiewska, Wspomnienia bezpartyjnej, maszynopis, Lublin 1956).

Postępowy program wychowawczy, konsekwentnie wdrażany przez Kunickiego w szkole, nie dał się pogodzić z systemem wychowania państwowego, realizowanym przez władze oświatowe po przewrocie majowym. Zmusiły go one do odejścia w 1933 r. ze stanowiska dyrektora gimnazjum. Będąc właścicielem szkoły, dalej wiernie realizował w niej swoje ideały wychowawcze. Z dumą mówili o nim absolwentki „Handlówki” w czasie zjazdów wychowanków. Jedną z nich, Ewa Szelburg-Zarembina, przedstawiła jego sylwetkę w niepozbawionym humoru szkicu literackim: „zwany Dobrym, a którego przeżywało także Don Kichotem”.

Władysław Kunicki od pierwszych chwil pobytu w Lublinie bez reszty poświęcił swój czas i siły pracy społecznej. Najwcześniej włączył się do działania w Towarzystwie Szerzenia Oświaty „Światło”, współpracując blisko ze Stefanem Zeromskim oraz lekarzami-społecznikami: Przemysławem Rudzikiem, Witoldem Chodźką, Mieczysławem Biernackim. Wspólnie z nimi organizował szkoły powszechne, kursy dla dorosłych, zakładał biblioteki, głównie w środowisku wiejskim. W działalności politycznej na pierwsze miejsce wysuwał sprawy walki o odzyskanie niepodległości Polski. Akcentował je mocno w swoich wystąpieniach na posiedzeniach Rady Miejskiej w 1917 i 1918 r. Jednocześnie domagał się wówczas 8-godzinnego dnia pracy, bezpłatnej pomocy lekarskiej i leczenia szpitalnego oraz bezpłatnego nauczania dzieci w szkołach miejskich.

W chwili wyzwolenia ziem polskich spod okupacji państw centralnych w mieszkaniu Władysława Kunickiego wieczorem z 6 na 7 listopada 1918 r. na naradzie przywódców PPS zapadły ważne ustalenia w sprawie proklamowania Tymczasowego Rządu Ludowego

Republiki Polskiej oraz treści przygotowawanego manifestu. Kilka dni później (11 listopada) rząd Daszyńskiego mianował Kunickiego komisarzem ludowym miasta Lublina. Obowiązki te spełniał on ofiarnie i godnie. Warto nadmienić, że władze PPS wysunęły jego kandydaturę na posła do Sejmu Ustawodawczego, której jednak nie przyjął.

W demokratycznych i powszechnych wyborach do Rady Miejskiej Lublina, przeprowadzonych 23 lutego 1919 r., Kunicki został radnym z listy PPS. Zakres jego obowiązków w samorządzie miejskim wkrótce powiększył się. Został wybrany wiceprezesem Rady Miejskiej oraz przewodniczącym Klubu PPS. Aktywnie uczestniczył w Konwencie Seniorów oraz Komisji Regulaminowo-Prawnej i Finansowo-Budżetowej. Z jego inicjatywy rada podjęła wiele uchwał w interesie najbardziej potrzebującym miasta, a nie było to wówczas łatwe, gdyż kierownicze stanowiska w Radzie Miejskiej i Magistracie były opanowane przez siły prawicowe z endecją na czele. Na skutek nasilającej się choroby płuc i konieczności dłuższego leczenia Kunicki zrezygnował z mandatu radnego w maju 1921 r.

Ponownie powrócił do Rady Miejskiej w czerwcu 1927 r. Polska Partia Socjalistyczna, której wówczas przewodził w regionie lubelskim (był przewodniczącym OKR), wygrała wybory, wysuwając jego kandydaturę na prezesa rady. Godność tę traktował jako swój wielki sukces życiowy i obowiązek wobec wyborców. Uzyskał też pełne poparcie dziewięciu radnych z Bundu i Poalej-Syjonu, socjalistycznych organizacji żydowskich. Centralne władze PPS, chcąc dopomóc Kunickiemu w realizacji konkretnego programu społeczno-gospodarczego rozwoju Lublina, skierowały do tego miasta z rekomendacją na prezydenta wpływowego polityka, posła na sejm z okręgu kieleckiego, Antoniego Pączka. Rada Miejska większością głosów lewicy wybrała go na to stanowisko. Oceniając wybory do Rady Miejskiej na posiedzeniu OKR PPS 26 lipca 1927 r., w którym uczestniczył nowy prezydent miasta, Kunicki, przyrzekłszy mu dobrą współpracę i wszechstronną pomoc ze strony OKR PPS i Klubu PPS, powiedział: „Robotnik lubelski poprawę stosunków i zmianę na lepsze ujrzał musi, i to w czasie najbliższym, by mógł nabrać przekonania, że jednak hasła, jakie głosił PPS przed wyborami do Rady Miejskiej, nie były czczymi frazesami zmierzającymi do pozyskania jak największej liczby wyborców, ale były obietnicami, których PPS dotrzyma i wykona”.

Z inicjatywy Kunickiego socjalistyczna Rada Miejska podjęła wiele uchwał zmierzających do zwiększenia zatrudnienia bezrobotnych, odczucia opieki społecznej, rozbudowy placówek opieki społecznej i służby zdrowia, podjęto budowę kilku miejskich szkół powszechnych. Na mocy uchwały Rady Miejskiej przejęty został przez Magistrat 1 czerwca 1923 r. szpital Jana Bożego, kierowany przez radnego, doktora medycyny Mieczysława Biernackiego.

W czasie niespełna dwuletniej działalności socjalistyczny samorząd Lublina dokonał istotnej poprawy na odcinku gospodarczym, społecznym i kulturalnym miasta. Mimo trudności finansowych przyspieszył uruchomienie nowych inwestycji komunalnych, zatrudnił blisko tysiąc bezrobotnych na robotach publicznych, udzielił wydatnej pomocy Teatrowi Miejskiemu. Rozłam w PPS w listopadzie 1928 r. oraz przejście prezydenta A. Pączka i kilku radnych z Klubu PPS do nowej partii, związanej z obozem pomajowym — PPS dawnej Frakcji Rewolucyjnej, doprowadziły do silnych tarć w łonie Rady Miejskiej. Wykorzystał ten moment minister spraw wewnętrznych Sławoj-Składkowski, który 26 lutego 1929 r. rozwiązał Radę Miejską Lublina i zwolnił prezydenta miasta ze stanowiska.

Władysław Kunicki ostro potępił postać Antoniego Pączka, jako głównego sprawcę rozwiązania organów samorządowych, zarzucając mu nawet stosowanie metod terroru i przekupstwa.

W latach trzydziestych Kunicki położył duże zasługi dla miasta w organizowaniu i upowszechnianiu szkolnictwa podstawowego. Prowadził ożywioną działalność w Robotniczym Towarzystwie Przyjaciół Dzieci, Towarzystwie Uniwersytetu Robotniczego i w Związku Nauczycielstwa Polskiego. W roku 1936 był współzałożycielem oddziału lubelskiego Ligi Praw Człowieka i Obywatela, a w roku następnym — Towarzystwa Szkoły Średniej w Lublinie, któremu przekazał prawa prowadzenia swej szkoły wraz z całym majątkiem.

Zmarł Kunicki 5 stycznia 1941 r. na zapalenie płuc, w niezwyklej chwili, gdy niemieckie władze okupacyjne podjęły decyzję o aresztowaniu go i osadzeniu na Zamku. Zegnało go liczne grono przyjaciół i wychowanków.

Józef Marczuk

Och, zycie!

— 4 —

Drugi mąż

Krystyna Dubik

STASZEK, jak się później dowiedziałam, przeprowadził się do Bydgoszczy. Ktoś nawet mi mówił, że zawarł tam ślub cywilny z jakąś kobietą, co wydało mi się wprost nieprawdopodobne. Tymczasem mój synek przebywał u moich rodziców w Wolinie, a brat otrzymał nakaz pracy i udał się na Śląsk do Jaworza, gdzie z myślą o mnie zarezerwował całe pierwsze piętro jednego z okazałych domów. Zamierzał się ożenić, czekała go jeszcze służba wojskowa, zachęcał mnie do porzucenia tak nieprzychylnego dla mnie Włocławka. Moim autorytetem był wciąż ojciec. Bardziej ciągnęło mnie do rodziców. Ojciec, wykończony nerwowo, miał pretensje do matki, że zamiast wysłać mnie do pracy i na dalszą naukę — wydała za mąż. Wzięłam całą winę na siebie. Miałam już przecież 21 lat...

Niemniej skorzystałam z zaproszenia brata. Synka pozostawiłam nadal przy rodzicach w Wolinie.

Była jesień 1950 roku, gdy przyjechałam do Jaworza. Tu, nie tracąc czasu umieszczałam jednoroczną córeczkę w żłobku. Pierwszą moją pracą był Zakład Lecznictwa Pracowniczego, w którym prowadziłam sekretariat. Rozpoczęłam też intensywną walkę o właściwe, jednakowe nazwiska dla dzieci, a przy okazji i o alimenty.

Sama, narażając się na różne o sobie komentarze, posługiwałam się nadal nazwiskiem panięńskim. Unikałam wszelkiego towarzystwa. W zupełności wystarczyło mi zajęcie w trzypokojowym mieszkaniu, a także przy wychowaniu malej. Z pracy byłam zadowolona. Wykańczała mnie tylko ta codzienna wspinaczka do położonego na wzgórzu żłobka.

Córeczka często chorowała. Zdarzało się, że ze stanem podgorączkowym nie chciano dziecka przyjąć do żłobka. W takich sytuacjach zgłaszałam telefonicznie do pracy moje spóźnienie i galopem biegłam z powrotem do domu, błagając bratową (brat się w tzw. międzyczasie ożenił), aby się nią zaopecowała. Ale bratowa podjęła pracę. Zaczęłam więc korzystać ze zwolnień lekarskich. Na szczęście mój szef, dr Stawski, był nad podziw wyrozumiałym człowiekiem. W ogóle trafiłam w bardzo uczynne środowisko i nigdy nie zapomnę tych jakże przychylnych dla mnie ludzi. Jeden z lekarzy odstąpił mi nawet swoje meble. Prawdopodobnie miał szansę zdobyć lepsze, poniemieckie, za symboliczną opłatą. Moją słabością było zawsze przytulnie urządzone, nie zagracone, pełne zieleni i książek mieszkanie.

Pewnego dnia odwoziłam małą do szpitala w Legnicy. Ubzduralam sobie, że ona umrze. W tym miejscu muszę dodać, że sama bardzo często cierpiałam na ropne zapalenie migdałów, ale resztkami sił szłam do pracy, żeby nie nadużywać ludzkiej dobroci.

Kiedyś moje koleżanki w pracy wystraszyły się mojego wyglądu. Miałam 1,64 wzrostu, a ważyłam już tylko 58 kg. Wynęły mnie do lekarza; zemdlałam pod drzwiami gabinetu. Okazało się, że to anemia. Wkrótce potem ponownie zemdlałam w pracy. Wśród bezsennych nocy doszłam do wniosku, że i to mieszkanie przyjdzie mi opuścić, że niezbędna stanie się pomoc doświadczonej matki, jej ciepłe spojrzenie, dobre tyczące słowo. Inaczej zginę.

Po moim liście, w którym nie ukrywałam prawdy, rodzice przysłali najpierw ciocie Melanie, która akurat u nich gościła. Ciocia przyjechała, by zabrać mi zdrową już córeczkę, dla której dziadkowie w Wolinie kupili nawet krowę! Mnie natomiast polecili zostawić mieszkanie, zabrać meble, manele i wracać jak najszybciej do domu. Uczyli mnie to.

Dom, w którym mieszkali moi rodzice, był niewielki, ale położony z dala od ulicy, przy której stał okazały dom sąsiada i całkiem go zasłaniał. Ogród, gdzie znajdował się ten niepokojny domek, i olbrzymi sad były obiektem zazdrości

niejednego mieszkańca Wolina. Trzyletni Mareczek i półtoraroczna Gosia mieli wyjątkowo dużą przestrzeń do swoich dziecięcych zabaw i gonitw.

Czas zbliżał rany. Dzieci były już w wieku przedszkolnym, gdy ostatecznie osiedliłam się w Międzyzdrojach, podejmując pracę w Miejskim Handlu Detalicznym. Był już rok 1953, a ja, jak dziś pamiętam, brałam udział w czynnie pierwszomajowym, malowałam korty tenisowe, odgruzowywałam pozostałości zaniedbanych placów, wyczarowując z nich zieleńce i kolorowe wymyślne klomby. Miałam 27 lat, a wciąż jeszcze zaliczano mnie do młodzieży. Już dawno przestałam się zamartwiać i oczekiwać powrotu ojca swoich dzieci. Odzyskałam zdrowie. Niekiedy, patrząc na mojego sześciolatka i czteroletnią Gosię, wprost wierzyć mi się nie chciało, że to są moje dzieci. Matce zawdzięczam bardzo dużo. To dzięki niej czasami czułam się nadal jak dziewczynka!

W Międzyzdrojach moje życie zaczęło się unormowywać. Tym razem miałam jednak kłopoty z Markiem. Nie lubił przedszkola i wciąż z niego uciekał. Nieraz przybiegał do mnie wystraszony przedszkolanki z zapytaniem, czy nie przyszedł do mnie? Ale on udawał się raczej nad morze, które go bardzo podciągało. Przeważnie tam go znajdывaliśmy. Kiedyś podczas przerwy w sklepie aż przystanęłam z wrażenia, słysząc komunikat przez radiowe wzmacniacze: „Na molo w budce ratowniczej jest do odebrania sześciolatek chłopiec, niebieskokoki blondynek, ubrany w popielate sztruksowe ubranko”. Biegłam, a serce stawało mi w gardle. „No i jak go pani pilnuje?” — pytał oburzony ratownik, pokazując mi, z którego miejsca w samą porę go zabrał.

Zamieszkaliśmy w domu przy ul. Mickiewicza. Raz, wracając z zakupów, z przerażeniem zobaczyłam, że mój Marek wyszedł na zewnętrzną stronę balkonu i obchodził go dookoła. Zaaklimatyzował się u dziadków, a tutaj, można by pomyśleć, że robił mi na złość przeróżne psikusy. Gosia też wyrwała się do dziadków. Jeździliśmy tam niemal każdej niedzieli. Wracałam zawsze zdenerwowana, gdyż oboje chcieliby tam pozostać. Pracowałam jako sprzedawczyni sklepu cukierniczo-piekarskiego. Myślałam jednak zawsze bykam przy dzieciach, z których jedno czasami zostawiałam do następnej niedzieli przy dziadkach w Wolinie. Moja mama była dla swych wnuków aż nazbyt tolerancyjna, toteż maluchy stały się nieposlušne. Traktowały mnie niemal jak starszą siostrę, zwłaszcza że mama nie zabraniała im wołać na mnie: „Krysiu”. Długo nie mogłam ich od tego odzwyczaić.

Raz babcia pozwoliła Mareczkowi wejść na dach, niskiej co prawda, szopki, przy której stała drabina. Obok, na boisku sportowym, rozgrywał się akurat mecz piłki nożnej. Marek już się nawet interesował sportem. „Daj mu spokój, niech patrzy” — prosiła moja mama, zapewniając, że nie spadnie. Tymczasem krzyk przeraźliwy w jednej sekundzie wymiół nas obie z domu. A jednak zrobił sobie krzywdę, zeskakując z kilku przedostatnich szczebli drabiny wprost na jakieś szkło. Częściowo odcięta pięta ledwie wisiała na skórcie, a krew sikała jak z fontanny.

Zupełnie straciłam głowę. „Leć po pogotowie!” — rozkazała mama, zajmując się przerażonym chłopcem. Byłam w papieżach. Pamiętam, jak je zdejmęłam, i biegłam bosą, nie mogąc powstrzymać płaczu. Przecież w Wolinie nie ma pogotowia ratunkowego! Balam się, że dziecko zupełnie się wykrwawi. „Kto tu ma telefon w pobliżu?” — pytałam napotkanych ludzi. Gdzie nie poszłam — drzwi zamknięte. Niedziela była wyjątkowo pogodna i wszystko, co było, wyszło z domów. Pomyślałam, że na posterunku milicji na pewno kogoś zastanę. Niestety, nawet dyżurny funkcjonariusz wldocześnie był zagorzałym kibicem, skoro samowolnie wychylił się z miejsca swojej pracy. Niemniej spostrzegł mnie z daleka. Zatelefonował i szybko wezwał pogotowie. W kwadrans później jechałam z bladem i przestraszonym dzieckiem do najbliższej stacji pogotowia w Międzyzdrojach, gdzie nawet nie miałem środków uśmierzających ból i przyszywał dziecku piętę na żywcą. Teraz już nie można go było co najmniej przez dwa tygodnie zostawić samego bez opieki...

„Znowu mam kłopoty z dziećmi!” — mówiłam, przybierając skruszoną minę przed moim kierownikiem, który był zarazem kierownikiem całej produkcji sekcji cukierniczo-piekarniczej MHD i sklepu, gdzie pracowałam na zmianę z jedną ze starszych pań, która właśnie wróciła ze szpitala. Teraz ja wręczałam mu zwolnienie lekarskie. „Do licha z babami!” — zaklął zdenerwowany i jakby dopiero do niego dotarło to, co powiedziałam, bo zapytał: „Z jakimi znów dziećmi ma pani kłopoty? O jednym mi dziecku wiadomo, a pani mówi w liczbie mnogiej”. „Mam dwoje dzieci, panie kierowniku”. „No, a co z ojcem?” — pytał dalej. „Ojciec już za stary, zupełnie nie ma do nich cierpliwości”. „Ich ojciec już jest za stary?” — pytał nie dowierzając. „Nie ich, tylko mój ojciec”. „A cóż mnie obchodzi pani ojciec? Pytałem o ojca pani dzieci”. „To jest prywatne pytanie i nie muszę na nie odpowiadać” — oświadczyłam z nietęgą miną. „Rozumiem — burknął przesywając mnie swoim badawczym spojrzeniem jak nigdy dotąd. „Wcale się nie dziwie, że taka kobieta ma kłopoty” — stwierdził, gdy odchodziłam, jak gdyby sam do siebie. Nurkowałam do „taka kobieta”. Byłam już trochę przewrażliwiona i żadnego komplementu w tym się nie dopatrywałam. Wydawało mi się, że jestem zupełnie normalna i nawet niebrzydka, ale hamulcem do normalnego życia pozostało piętno „rozwódki”.

Kiedy wróciłam ze zwolnienia lekarskiego, wycałowałam, że stałam się obiektem zainteresowania mego kierownika. „Jak tam dzieci?” — dopytywał się — zdrowe? Najwyższy czas poszukać dla nich tatusia” — dodał w pośpiechu. Dobrze sobie! Poszukać tatusia. To chyba tak jak igie w stogu siana. Kierownik stał mi wsadzał jakąś szpilkę, wciąż czymś potrafił ukuć. Aż któregoś soboty zaproponował mi dancinę. Byłam zdumiona. „Czyżby pan nie był jeszcze żonaty?” — zapytałam przy stoliku, patrząc w jego wielkie piwne oczy. „Nie, proszę pani, jestem jeszcze kawalerem. Nie mogę natrafić na kobietę swojego życia”. „Nie wierzę”. Kierownik był między trzydziestką a czterdziestką. Dobrze się prezentował. Miał czarne, gęste włosy, starannie do góry uczesane, ładne oczy, okrągłą

dość dużą twarz o wielkich smykalowych wargach i trochę za długi nos.

„Naprawdę nie jestem z nikim związany ani ślubami, ani dziećmi” — zapewniał mnie, wstając, gdyż akurat zaczęli grać. Poszliśmy zatańczyć. Trudno mi było uwierzyć, by mężczyzna z taką prezencją z nikim się jeszcze nie związał. „Kłamię — myślałam. — Przekleć niejedno, ale po co o tym mówić? Widzę, że ma ochotę i mnie zaliczyć do kolekcji swoich kobiet. Przecież nie ożeni się z rozwódką. Chociaż może i byłby z niego niezły ojciec. Powierzchnowość ma naprawdę ujmującą i tak dyskretnie mnie przytula, może właśnie on jest moim przeznaczeniem?” — myślałam poddając się nastrojowi.

Kiedyś to byłam na ostatnim dancingu? Chyba jeszcze ze Staszkiem. Nikt nigdy mi nie wierzył, że żyłam jak zakonnica. Nawet pewien ksiądz twierdził, że dla kobiety, która była mężatką, zbliżenie z mężczyzną nie jest już śmiertelnym grzechem...

Mój kierownik nadal interesował się dziećmi, ba — nawet rodzicami. Wciąż się zapraszał do Wolina. Obdawani słodyczkami dla dzieci i babuni, dobrą nalewką dla dziadka, jechaliśmy po raz pierwszy jego motorem z przyczepą jakąś nie znaną mi drogą na skróty. Byłam nawet trochę przestraszona, dokąd mnie wienież?

Henryk, tak miał na imię kierownik, umiał się przypodobać. Szczególnie ojcu przypadł do gustu. Mama była bardziej powściągliwa. Mówiła: „Chociaż teraz nie śpiesz się, dziecko”. Henryk już po drodze radził się mnie, jak ma się przedstawić dzieciom? Tym pytaniem dotknął mojej czulej struny, gdyż Marek już się o ojca dopytywał. Dziadek miał najszybszy refleks i odpowiedział, że jeszcze z wojny nie powrócił, że może nawet zginął? Wtedy oczy dziecka natychmiast posłutniały. „Może jeszcze powróci, ja też wróciłem późno” — dodawał dziadek.

Henryk zaskoczył mnie tym, że chciał się od razu przedstawić dzieciom jako ojciec. To przecież byłby dla nich szok! Szczególnie dla Marka, który już coś tam na swój sposób zaczynał pojmywać. „Powiedz im prawdę, że jesteś moim kierownikiem i już”. „Od dziś nie chcę słyszeć tego słowa, jadę prosić rodziców o twoją rękę. Zauję, żeśmy się wcześniej nie spotkali i nie udawaj, że mnie wcale nie lubisz” — stwierdził podnieconym głosem, być może szczerze.

Prawdę mówiąc, dziś już sama nie pamiętam, jak się przedstawił dzieciom, a jak rodzicom. Udało mu się zatawić mnie, a właściwie już nam, trzypokojowe mieszkanie z werandą. Był to nie wykorzystany hotel FWP. Henryk załatwił mi też nową posadę. Znowu pracowałam jako kasjer i o piętnastej byłam już wolna. Nie mogłam się nacieszyć trzypokojowym mieszkaniem, do którego meble z Jaworza pasowały jak ulał. Był więc pokój dziecienny, sypialnia i stół. Wielka jasna kuchnia z niewyposażoną jeszcze łazienką i toaletą. Henryk był zaskoczony, że miałam już meble, firanki, tyle książek. Wiązał to wszystko z moim pierwszym małżeństwem. Jakże się mylił! Staszek zabrał przecież dosłownie wszystko, nawet psa, a zostawił tylko jedną najniebezpieczniejszą świnkę, którą już i tak nie miałam czym karmić, bo i ziemniaki też zabrał.

Henryk był tak tym urzędowaniem mieszkania przejęty, iż nie ulegało wątpliwości, że on też tu zostanie na stałe. Ja nie byłam jeszcze zdecydowana. Mimo woli odzywały bolesne wspomnienia. A on mówił: „Jesteś kobietą moich marzeń, mam 33 lat i wiem, co mówię, a twoja przeszłość mnie nie obchodzi”.

Gosia bardzo szybko „tate” zaakceptowała, natomiast Marek patrzył nań raczej nieufnie i nie dawał się nabrać. Henryk dziwił się, że ja „rozwódka z dwojgiem dziećmi”, śmiem się jeszcze zastanawiać. Pewnego dnia uniósł się ambicją. Nie było go cały tydzień. Nawet dzieci się dopytywały: „Gdzie jest tatuś?”

Miałam 27 lat. Wciąż byłam narażona na jakieś docinki, domysły, plotki. Właściwie taki człowiek, jak Henryk, może by i przywrócił mi normalne życie, do którego jak gdybym utraciła prawo? Pięć lat samotności, beznadziejnego wyczekiwania, tęsknoty, udręki, snów koszmarnych, zmagania się... Czy to nie wystarczy? Czy nie czas podjąć nowe ryzyko? Może i rację miał Staszek, twierdząc, że jestem zafarana?

Ostatecznie zdecydowałam się i po raz drugi zostałam mężatką. Więcej z wdzięczności, niż z miłości. Miłość należała do dzieci. Tak naprawdę to dopiero przy Henryku poczułam się prawdziwą mężatką. Dzięki niemu odzyskałam dobre samopoczucie. Byłam wreszcie żoną, a nie rozwódką. Zdawało mi się, że już nie mam więcej do szczęścia nie potrzeba. Tymczasem Henrykowi marzyło się jeszcze choćby jedno dziecko. Co za przeciwieństwo tamtego! Teraz nie musiałam trząść się ze strachu, że „wpadnę”.

I to marzenie zostało spełnione. Jak mężczyzna potrafi być dobry, czuły, opiekuńczy, kiedy kocha! Dziękuję Bogu, że i to dane mi było przeżyć. Bał się, gdy praliam; gdy cokolwiek podniosłam, z ręką mi wyrwał. Kiedyś się dźwigałam w miednicy błękitne do powieszania. Tak się zdenerwował, że wyrzucił mi tę błękitną razem z miednicą za płot, do bepańskiego sadu. Jak się ściemniło — to pozbił.

Z tą swoją przesadną troskliwością był niekiedy wprost śmieszny. „Henryku! Opanuj się — prosiłam. — Jestem jeszcze młodą i zdrową kobietą”. Poród przeżywał bardziej niż ja. Nie dał mi też odczuć, że Marek z Gosią to nie jego dzieci. Denerwował się, gdy mało jedli. Przypominał w niedzielę o spacerze. Lubił gdy wszyscy byliśmy ładnie ubrani. Do porodu chciał mnie nieść na rękach. „Oszałałeś?” — zapytałam. „Jeśli nawet, to ze szczęścia” — mówił rozpromieniony.

(dokończenie nastąpi)

kamena

DEBIUT i koniec (bo autor się utopił)

Kajakiem przez Trójkąt Bermudzki

Godz. 8.25. Spokojnie. Kompas nadal nie działa. Ziutek łowi ryby. Właśnie złapał jakiś nie znany nauce gatunek. Otwieram ostatnią konserwę.

Godz. 8.42. Ziutek złapał ogromną ośmiornicę i właśnie usiłuje ją wciągnąć do kajaka. Ciężko to idzie, bo ośmiornica waży, tak na oko, kilkanaście ton.

Godz. 8.46. Już po Ziutku. Całe szczęście, że wystarczył. Ośmiornica odpłynęła.

Godz. 9.05. Morze zaczyna wyglądać dziwnie. Niebo ma niezwykle złoty odcień. Nie wiem, gdzie jest słońce.

Godz. 9.12. W oddali widać wielkie na kilkaset metrów fale. W odległości jakichś trzech mil morskich, trzy rumbury w prawo, widzę mglisty, wirujący obłok. Na lewo od niego wylania się jaskrawo świecąca latająca talarz.

Godz. 9.21. Latający talarz wodzi obojętne kajaka. Staram się okazywać spokój i przyjacielskie zamiary.

Godz. 9.25. Z pojazdu wychodzą istoty przypominające wyglądem tarczki do ziemniaków. Wyciągam moją legitymację prasową.

Godz. 9.27. Tarczki do ziemniaków przytapiają mi kajak. Zdecydowanie protestuję.

Godz. 9.37. Kajak utopiony. Tarczki wchodzi do talarza i odlatują.

Godz. 9.47. Wysoka fala. Na północy widać dziwne światła.

Godz. 10.35. Maszyna ciężki mi już nie do zniesienia. Nie mam siły stukać w klawisze. Mdleją mi ręce i co chwila lykam wodę.

Godz. 10.38. Zdaje się, że łone. Pozdrowienia dla całej redakcji i czytelników. Strazę skrzyppoe...

Wojciech Chocianowicz



Rys. Józef Turłowski

Robota w „Kwiatowym”

Ewa Chodkowska

DNI są bardzo do siebie podobne. Ledwie błąd świt zawisa na szybko, odzywa się brzęczenie budzika. Chciałaby jeszcze na chwilę wtulić się w sen. Ale okna jaśnieją prędko, minuty przesuwają się nieubłaganie. Wrzuca na siebie rzeczy. Późno, a trzeba jeszcze zrobić oko i usta. Potem papieros w biegu i szybko na przystanek.

Wpada zwykle spóźniona, tuż przed otwarciem. Szeffowa kuchni patrzy krzywo, pochylona na kotłem z mleczną kawą, czasem mruży pod nosem: „Zaraz otwieramy, gabloty puste... a ty co?” No więc wrzuca na siebie kleisty biały fartuszynek i w lodówce za szybką ustawia twarożek z cebulą, jajka na twardo, zeschnięte plasterki „edamskiego”, kefir i surówkę z marchwi. Trzeba się śpieszyć, o szóstej otwiera ją „Kwiatowy”. Mariola strasznie nie lubi tej pory.

— Boże miłosierny, jacy ci ludzie są pazerzy, już o świcie chce im się jeść i leżą biegiem do baru. I to najczęściej ci starcy, chyba spać nie mogą. Zaraz po szóstej jest ich pełno i jak potrafią marudzić, że ryżu na mleku jeszcze nie ma albo że bułki nieświeże, a to znowu, że mleko przypalone. Cóż oni myślą, że my wcale spać nie będziemy i szykować im już o świcie to wszystko? A jak rozmyślają — Hanja w kasie to już naprawdę cierpliwości nie ma — makaron z mlekiem za 9.70, czy ryż do mleka za 8.50.

Mariola zapala się mocno w swoich narzekaniach.

— Mówię pani, już najgorzej to w barach mlecznych, wprost nie do wytrzymania. Cała hołota przecież się tu schodzi, ognąć się od nich nie można.

— Jak to hołota, znaczy kto?

— No różne takie łajzy, co to by chcieli za darmo się najęść najlepiej i jeszcze na dodatek ziskać się pod stołem. Porządni ludzie to przychodzą tu chyba tylko, jak się śpieszą, albo tacy, co żalują sobie na lepsze jedzenie.

Mariola ma swój własny kodeks ludzkiej porządności i nieporządności. Przez dzień cały stoi za ladą, odbiera kwitki kasowe i wydaje talerze z jedzeniem. Delikatną buzię wykrzywia w grymasie nudy i złości. Warczy często na niedyscyplinowanych konsumentów. A ludzie, zabierając swoją pomidorówkę, leniwe albo gryczaną z sosem, wzdychają czasem z niedowierzaniem: „Taka ładna i jaka jedzą”. Ale tak naprawdę nikt może nie pojmuję, że nuda obiepla duszę przez te osiem godzin za ladą oblaną grochówką, wyciaganą mlekiem, kapustą albo buraczkami.

— Czasem uda mi się zamienić na parę godzin z Basią z kuchni — powiada smętnie Mariola. — Już wolę w duchocie i gorącości smażyć placki czy naleśniki, niż wciąż patrzeć na te gęby niezadowolone. I stałe tylko mają pretensje, że kluski albo pyzy niedogotowane, że placki niedosmażone. Bo myślą chyba, że za te parę złotych to marcepani dają w „Kwiatowym”. Mówię pani, że teraz to już naprawdę ludzie żadnego wyczucia nie mają i nijakiego wprost pojęcia o życiu,

głęboko po prostu. Raz jeden taki wykupił sobie w kasie paszteciki, ja mu podałam porcję (3 sztuki), a ten dalej na mnie zębami: „Co to ma być, to niby jest porcja? Same wytręcie wszystko, a dla ludzi to tylko resztki, ochłapy!” No i jak taki potrafi człowiekowi krwi napsuć, głupek. A kto by tam jadł takie paszteciki z kapustą, też coś!



Rys. Jacek Hardejuk

Mariola ma 19 lat, ładniutką, lalkową buzię. Nad czołem koronę ślicznych kasztanowych włosów. Martwi się, że w pracy to i tak nikt tych włosów nie widzi, bo obowiązkowo trzeba być stale w białym czepku. Czasem spod fartucha chciałaby pokazać kawałek ładnego sweterka albo nowe spodnie, ale też na nie.

— Dla kogo tu się właściwie ubierać? Tylko szkoda nawet ładniejszych rzeczy zakładać, bo zaraz się tu wszyscy uciupią. Chociaż warto przecież jakoś po ludzku wyglądać. Jak mam zmianę po południu, to nieraz już tak pod wieczór, jak mniej ludzi, nawet znajomości można tu fajnie nawiązać. Kiedyś przystojny chłopak, student,

umówił się ze mną do kina. Taka śmieszna, fajna komedia była: „Powrót do przyszłości”. Ale potem zaraz pytał, czy ja mam może wolną chatę, bo on w akademiku mieszka. Powiedziałam mu, że jest nas sześcioro w dwóch pokojach. Więcej się już ze mną nie umówił, obiecał, że wpadnie kiedyś do „Kwiatowego”, ale jakoś nie przychodził. Nawet chyba pani nie ma pojęcia, jak trudno znaleźć chłopaka takiej dziewczynie... — zachmurzyła się Mariola.

— ... takiej dziewczynie, co życie przeżywa w barze niskiej kategorii — kończy jej zdanie.

— O właśnie, dobrze to pani powiedziała. Porządni faceci mało do nas przecież przychodzą, prawie wcale. Przeważnie to takie same łazgi, przepite, wycioruchane, brudne, albo tacy, co im śpieszno w podróży.

— Tylko faceci?

— No, nie! Och, kobiety jakie różne tu zachodzą też, to mówię pani, nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Jedna taka, chyba nie bardzo mądra, zawsze chodzi z jakąś lalką. Przysiąda się do stolików i upatry, jak kto je coś lepszego, to ona zaraz ręką chapsa mu z talerza. Ludzie się awanturują, no ale co... Nie można z nią dać rady. Przeganiamy ją stale, ale na nic. Kiedyś szeffowa to aż opłuła i dopiero sobie poszła. Wszystkie żeśmy się uśmieły po cichu, o! dobrze jej tak, znaczy szeffowej, bo też jedzą nie do wytrzymania. Tego to może niech pani nie pisze, chociaż, właściwie to wszystko jedno. Tak naprawdę to mnie przecież wcale nie zależy na tym barze. Takie użeranie się można mieć w końcu wszędzie i jeszcze za marne pieniądze.

No pewnie, że szukam czegoś lepszego, ale to nie tak znowu łatwo. Mnie się w życiu nie udało, czego nie ruszę, to zaraz klapa. Zaczynałam chodzić do liceum, po I klasie mnie wylali, uwzięła się na mnie taka jedna od ruskiego. Potem byłam rok w zawodowej gastronomicznej, koleżki śmiały się, że kuchara będę. Rzuciłam to, jakoś mi nie szło. Chciałam jeszcze spróbować jaką szkołę, ale ojciec powiedział, że już ma dosyć tej wiecznej harówki na cztery dorosłe baby, znaczy się na mnie i siostrę. No i kazał wziąć się za jaką robotę. Tu może tak całkiem i nieźle, tylko, że nogi aż puchną przez cały dzień od tego stania. Ale trochę forsy w końcu jest. Jak idziemy na dyskotekę czy do kawiarni, nie muszę się oglądać, żeby mi jakiś chłopak postawił jednego albo lody, czy dał przypalić. Stać mnie na to, a co?.. Albo nieraz to i w butelku można sobie coś fajnego kupić. O, ostatnio ładne koleżki były. Fajne, no nie? Matka mówi zawsze: „Składaj sobie na książeczkę, nie nie masz. Kto ciebie zechce wziąć”. Może i nie zechce. Janusz, mój kolega jeszcze ze szkoły, mówi czasem: „Wiesz, Mariolka, w barze to jednak śmierdzi”. No pewnie, że śmierdzi. Sama, jak wychodzę na ulicę, to sobie myślę, że chyba czuć mnie pomyjami. Ale mój ojciec uparł się, że to dobra robota. Zjeść można na miejscu, a życie teraz takie drogie... Bo ja wiem...

Poczta literacka

Włodek Ch. Ignaców. Słusznie Pan uczynił, że przemoł obawy. Bez wystania utworów trudno o sprawdzenie swoich możliwości. Otrzymałem trzy, chciałbym przeczytać następne. Najwięcej zastrzeżeń budzi wiersz pt. „O pewne obrazy”. Chodzi mi głównie o stronę formalną, a nie treściową. Stanowi, jakby, zwykłą opowieść, a w poezji przecież nie o to chodzi. Janusz G. Konin. Ale! ja się zgadzam z Pańskim poglądem, awanturą w litero-

takie jestem przeciw kamufletom i za otwartością, choć w prawdziwej poezji nieodpowiedzenia bywają lepsze od łopatologii. Nadesłano wiersze zdają się potwierdzać, że obecnie w owej otwartości przesadnej już Pan nie gustuje. I dobrze, bo pozostawia Pan także czytelnikom możliwość ich własnych przemyśleń po przeczytaniu utworów. Kiedyś, gdy osiągnie Pan już własną formę, będą wdzięczny, że przśle Pan jedynie tyle wierszy, ile „Kamena” mogłaby wydrukować. Teraz jednak ta skąpość przysyłki daje mi małe możliwości rozeszanła.

Adolf F. Lublin. Pańskie aforyzmy porównawcze są cech literackich, ponieważ jednak działają literackim są wprost pro-

stane, odpowiedzieć muszę. Oparte są one przede wszystkim na grze słów, zabawkach z góry zmuszających do takiej, a nie innej, pokrętniej konkluzji. Czy są w nich zapożyczenia, trudno mi powiedzieć, ale takie domniemania się nasuwają przy lekturze. Nie chodzi mi nawet o to, iż nie mają one wdzięku i lekkości Lessa, kiedy jednak zbyt mocno czerpią z techniki i fizyki, stają się trudne w odbiorze, nawet wtedy, kiedy usiłuje Pan doprowadzić nas do jakichś wniosków humanistycznych. Nie skorzystamy.

Robert Adam K. Parosaw. Nie ma o tym mówić.

Pora duchów i wilkołaków

Marta Denys

NA dzień przed Halloween, amerykańskimi świętami w rodzaju zaduszek, pan Glass wyciągnął ze składowiska drabinę i przystawił ją do okienka na piętorku. Wywnosił następnie suchy, bukowy konar, który jak raz wypełnił okienne otwór. Teraz kolej była na linę. Pan Glass wprawdzie zarzucił gotową już pętlę. Kupił ją razem z konarem na jakiejś wyprzedaży, w niekompletnym zestawie, bo wisielca trzeba było albo zrobić samemu, albo poszukać jeszcze po cheap-storach (sklepikach ze starzyzną), na co już pan Glass nie miał cierpliwości.

Początkowo pani Glass proponowała, by powiesić jeden z plastikowych szkielecików, które jej mąż przechowywał pieczołowicie w skrzynce, ale pan Glass rezerwował te rekwiizyty dla specjalnej dekoracji pokoju. Na Halloween od kilku już lat miał zwyczaj zawieszać owe szkielety w rest-roomie (pokoju wypoczynkowym) wszędzie, gdzie to się tylko dało, gości zaś raczył wtedy tradycyjną whisky and soda w pucharkach o kształcie czaszek. Zeby zaś było bardziej świątecznie, wkładał kapelusze czarownic i mieszał piszczałkami — również plastikowym — trunki.

No, cóż, jak Halloween, to Halloween, pora duchów, wiedźm i wilkołaków...

Kiedy Evelin i Carter — dzieci państwa Glassów — były jeszcze małe, na trawniku przed domem stawiano podświetlone figurki skrzatów, a nad wejściem zawieszano Babę Jagę na miotle, która pod nieobecność domowników dziwnym trafem zawsze spadała, włączając system alarmowy na cały regulatorki. Robiło się wtedy niezłe zamieszanie, bo w kilka minut po upadku Baby Jagi zjeżdżała policja, a sąsiedzi z vis á vis — życzliwi irlandzcy rentierzy, co to oko i ucho na sprawy bliźnich dobre jeszcze mieli — musieli wyjaśniać chłopcom z 14-tego komisariatu, na czym rzecz polega. Wydzwoniona z biura pani Glass wpadała do domu, klnąc wiedźmę w żywe kamienie.

Więc jak już dzieci dorosły i poszły na swoje, pan Glass wyrzucił Babę Jagę out i nabrał, nie wiedząc czego gustu do pętl i szkielecików. Przymerzał czasami do siebie

jedną z nich, śmiejąc się, że po nim i Glassowej to nawet kości nie zostaną. Funeral Home (zakład pogrzebowy) wyda dzieciom lastrykowe urny z garścią prochu, które one i tak wyniosą do składowiska. „Come on” — odpowiadała wtedy zniecierpliwiona pani Glass, co by się na nasze tłumaczyło: „A idźże do cholery!”

się w oknach — wydrążone w szczerbate uśmiechy i grymasy — dynie, na drzwiach wisiały iluminowane nie-toperze, a gdzieś z kamarków domów wyglądały różne strachy i fantomy. Przez jezdnię, pomimo późnej pory,

Glassowie i przyjaciele krążyli dłuższą chwilę ulicami w poszukiwaniu parkingu. Znaleźli wreszcie wolne miejsce, gdzieś na tyłach „Drake-Hotelu”, nieoświetlone i niezbyt pewne, ale zaparkowali. A po State Avenue — głównej ulicy Chicago — przedzierał się w strumieniu aut mały jeep, torując sobie drogę głośnym śmiechem pasażerów i klaksonem. Przebrani w białe habitusy siostrzyczek, młodzieńcy darli się jak opełani: „Reagan is Jesus Christ! Reagan is Jesus Christ!” Z jeepa leciały pęki chryzantem, które młodzieńcy narwali pod John Hancock Building — jednym z 300-metrowej wysokości kolosów Chicago — a wiatr znad jeziora Michigan rwał rozbawione głosy na echa. Na skwerku zaś, w takt rozjuszonego stereo, male Murzyniaki wyginały się na kształt gumy. Do kapelusza leciały monety. Harry-goryl dorzucił im parę czekoladowych batoników firmy Mars i gum do żucia firmy pani Wrigley. Przygodni widzowie zaklaskali aprobując, lecz nikt nie dołożył do tego show ani centa.

Wilkołaki i wichura szalały w down-town do późnej nocy. Szalały także boczne uliczki śródmieścia, „zarezerwowane” na ten wieczór przez pederastów. Tam dopiero było co oglądać! Jakże dekoloty, jakie nakrycia! I bynajmniej żadne wilkołackie maski i kostiumy. Zbytńia ciekawość kosztować mogła jednak podbite oko. Toteż Glassowie wycofali się stamtąd czym prędzej.

W domowym „barze pod wisielcem” oczekiwali ich lyk czegoś mocnego i na chybcika zrobione przez Glassów kanapki. Ktoś włączył telewizję; dziewięćty kanał podawał komunikat, by chodzące w ten wieczór po domach za słodyczkami dzieci sprawdzały każdy cukierek i czekoladkę przed spożyciem. Zgłoszono już bowiem przypadki „nadziania” owych lakoci... żyłkami. Zrobili to ludzie, którym maski upiórów nie były potrzebne. Ktoś w przebraniu za niedźwiadka Pandę zamordował jedną osobę dorosłą i dwoje dzieci. Wampiry okazały się okrutnie prawdziwe, nie z bajki, lecz z życia.

Harry-goryl ze wstrętem odrzucił piszczałki do mieszania trunków...

PS. Amerykańskie „zaduszki” — zwane Halloween — wywodzą się ze starej celtyckiej tradycji i obchodzone są 31 października.

Reprodukcje: Maciej Kaczanowski



Na Halloween zapowiedziało się do państwa Glassów trochę gości, by wspólnie posiedzieć przy drinku w ten wieczór, a potem całą kompanią ruszyć do down-town (śródmieścia) na nocną paradę wilkołaków. Glassowie na tę okoliczność przygotowali dla siebie zawczasu maski i przebrania. Glass — jak zwykle — strój czarownicy, Glassowa — maseczkę „Cabbage Patch”, lalki-kapucیانki — szalenie modne w tym czasie w Chicago zabawki i maskotki.

Furorę jednakże zrobił Harry, przyjaciel Glassa, który wysiadł ze swojego Pontiac'a w kostiumie goryla. Zamówił go specjalnie na miarę kilka dni temu u Woolwortha za jedynę 79 dolarów i 99 centów plus dostawa do domu. Śmiechu było co nie miara, bo, niewprawny jeszcze w nowym odzieniu, Harry coraz to strącał kudłami z baru napelnione trunkami czaszki. A kiedy do drzwi — zgodnie ze zwyczajem — dzwoniła poprzebierana dzieciarnia, wychodził do niej z piszczałkami w zębach. Dorosli zaśmiewali się do „mokrych majtek”, a dzieci zmykały, nie chcąc już nawet przyjaść lakoci, które dla nich przygotowała pani Glass. Z małą chciwością Harry zagarniał cukierki do swojej kudlatej kieszeni. Przysiadł się potem na nocnym spacerze po down-town.

Późno już było, kiedy wyruszyli, oglądając po drodze co dowcipniejsze halloweenowe dekoracje przy domach. Tu i ówdzie świeciły

przebiegają gromadki przebierańców, a radio coraz to powtarzało komunikat dla kierowców, by podczas jazdy uważali na przejętych swoją rolę małych wilkołaków.

Rok temu pogoda w Chicago nie była najlepsza. Wiatr od jeziora Michigan tak chłustał zimnem i zeschłymi liśćmi, że niejednemu przebierańcowi spadał z głowy ka-



GORILLA COSTUME pelus i maska. Brodząc w suchym szalecie ludzie umykali więc do bram i czynnych jeszcze kafejek, by przeczekać ataki wichru.

	1	2	3	4	5	6	7	8
15	16	17	18		19	20	21	22
31	32		33		34	35	36	37
46	47	48	49		50	51		52
	60	61	62	63	64	65		66
75		76	77	78	79	80	81	
90	91		92	93	94	95	96	97
105	106	107	108	109	110	111		112
121		122	123	124		125	126	127
135	136	137	138	139	140	141	142	
151	152		153	154		155	156	157

Krzyżówka nr 22 szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści polskiego pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 16 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

- do siana, słomy i gnoju — 16, 55, 64, 25, 83.
- kontrola — 6, 18, 61, 20, 31, 34, 112, 81, 164.
- spóźniony kontynuator — 9, 70, 137, 127, 160, 41.
- cegi — 4, 15, 37, 59, 111, 122, 76, 49.
- moskiewska dzielnica sportu — 8, 85, 110, 101, 62, 92, 150.
- podobno niebiański mieszkaniec — 7, 105, 68, 35, 2.
- z niego nitka — 23, 130, 97, 60, 67, 3.
- ni to miasto, ni to wieś — 5, 106, 22, 36, 86, 96, 84, 12.
- tam promem ze Swinoujścia — 42, 155, 50, 24, 108.
- centrum miasta — 19, 47, 126, 14, 10, 74, 69, 94, 44, 77, 90.
- zwierzchnik gajowych — 40, 56, 135, 124, 87, 114, 48, 121.
- uroczystość objęcia władzy przez biskupa — 21, 54, 1, 146, 107, 78.
- horoskop — 139, 71, 46, 152, 120, 123.
- syn Noego — 116, 148, 86.
- spec od gotowania — 13, 144, 162, 113, 52, 57, 65.
- między Oregonem i Montaną — 38, 153, 58, 163, 17.
- kask — 45, 80, 75, 143.
- japońskie dziewczęta do towarzystwa — 129, 26, 91, 82, 147, 115.
- mieszkał w obecnej Rumunii — 33, 93, 98, 154, 149, 133.
- szerzący się wielki ogień — 145, 51, 53, 72, 159, 29.
- suche zarośla tropiku — 125, 161, 73, 117.
- rozgrywki ligowe — 27, 158, 95, 89, 119.
- druga połowa żony — 32, 63, 118.
- polski parlament — 141, 39, 11, 43.
- kozacki dowódca — 99, 88, 102, 131, 134.
- towarzyszka Apollina — 157, 109, 104, 156.
- jest nim kszyc, dubelt i in. — 28, 151, 100, 140, 103.
- do rzutów — 128, 30, 142, 132, 79, 138, 136.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 20 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Od Słowian pochodzą nazwy tamtejszych zatok, a słowo „baltis” znaczy po litewsku biały i czyta się „baltis”. Na mapach drukowanych w Kownie widnieje napis „Baltis Jura” co oznacza po prostu: Białe Morze.

Paweł Jasienica
SŁOWIAŃSKI RODOWÓD

Nagrodę otrzymuje Stefan Gwizdek, Os. Orła Białego 9a m. 5, 62-200 Gniezno.